

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB. Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok X.V. | **Kraków, 3 lutego 1917.** | **Nr. 5.**

Armia polska.



Komenda Legionów (z kom. Szeptyckim i szefem sztabu pułk. Berbeckim w pośrodku) na uroczystości otwarcia Rady Stanu w Warszawie. (Fot. Dulęba, Warszawa).

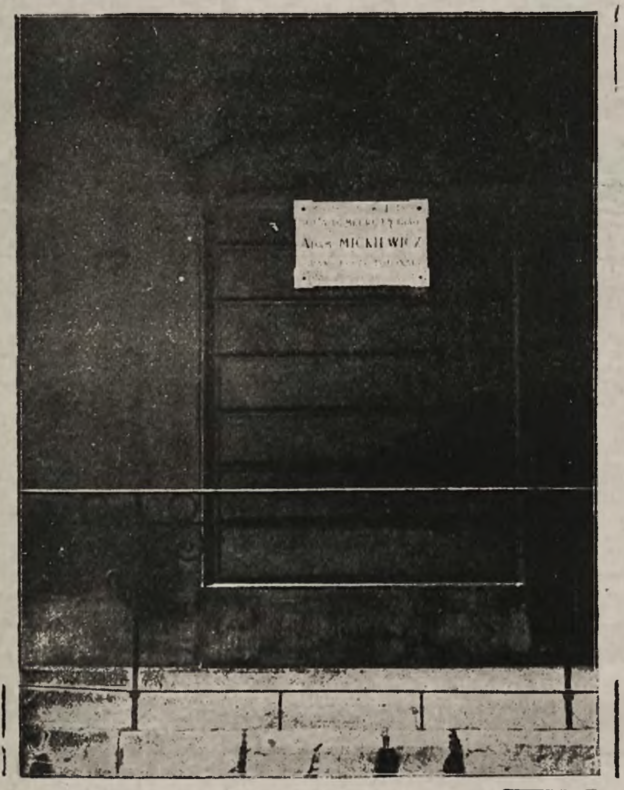
Armia polska.

(Do illustracyi tytułowej).

Armia polska!

Któreż serce polskie nie zadrży radośnie na dźwięk tych słów? Warszawa, której bruki tyle razy zalewała krew w walce o wolność, witała z niezwykłym entuzyazmem zarówno wkraczające Legiony, jak i twórcę polskiej siły zbrojnej — Józefa Piłsudskiego.

Dziś Legiony — ten stworzony na ziemi galicyjskiej zawiązek polskiej wojskowości — mają stać



Pamięci poetów polskich w Szwajcaryi: Tablica pamiątkowa Mickiewicza w Lozannie, przy ulicy Grotte l. 1.

się armią polską, która ma bronić własnej, niepodległej ojczyzny.

Teraz właśnie, po otwarciu Rady Stanu w Warszawie, sprawa tworzenia armii polskiej weszła na nowe tory. Wszystkie oddziały legionowe złożyły



Pogrom Rumunii: Ludność rumuńska, zbiegła w chwili wybuchu wojny, w powrocie do swych miejsc rodzinnych. W głębi obóz wojsk austro węgierskich.

temu tymczasowemu rządowi polskiemu adres, w którym ślubują mu wierność i posłuszeństwo, a na wezwanie Rady Stanu rozpoczął się werbunek w całem Królestwie Polskiem.

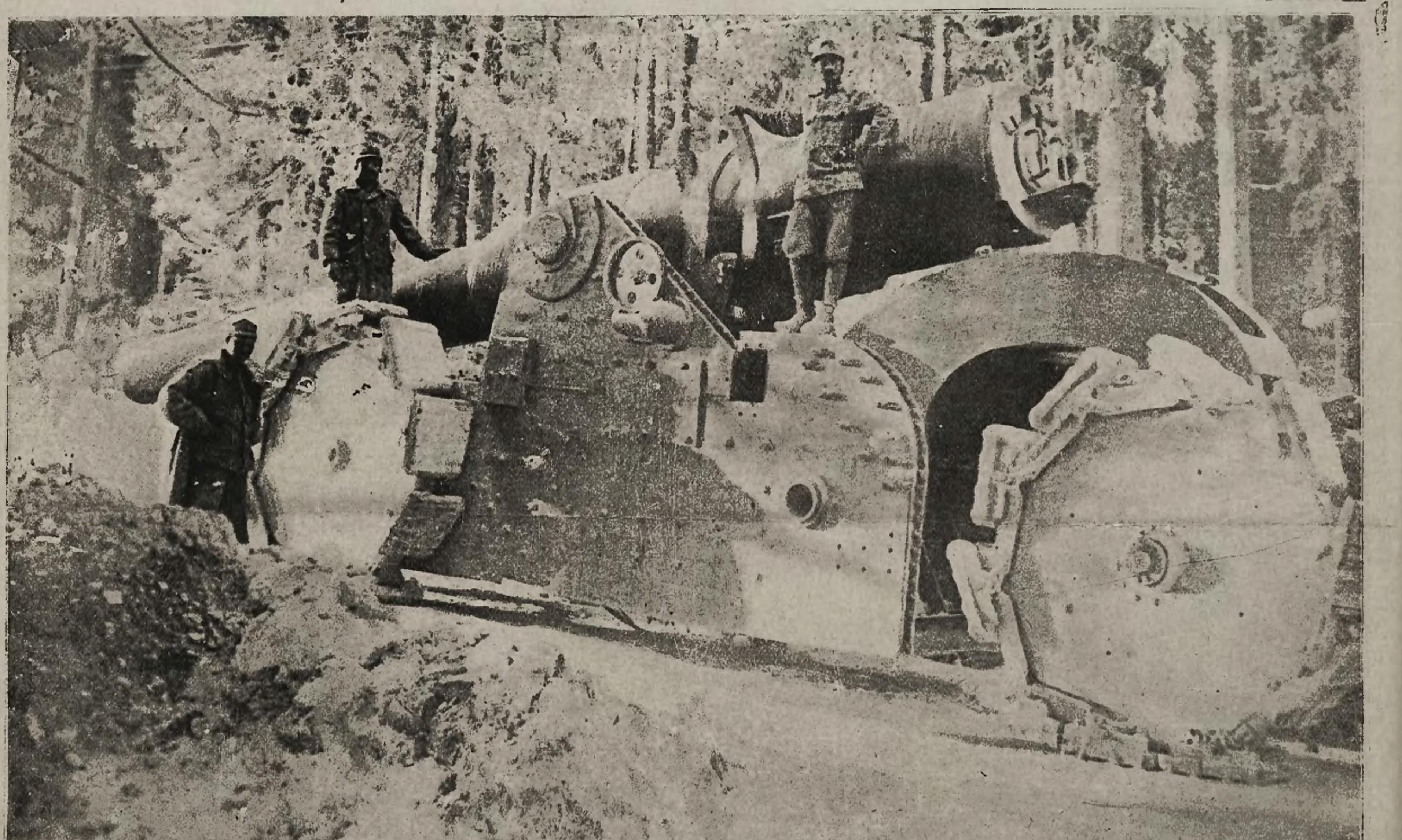
Armia polska — powołana przez rząd polski do obrony niezawisłego państwa polskiego — staje się faktem! Z wiarą i otuchą cały naród polski ma dziś zwrócone oczy na wzrastające szeregi własnej armii, w jej sile widząc gwarancyę swej wolności.

Pamięci poetów polskich w Szwajcaryi.

Z inicyatywy i staraniem przebywającego obecnie w Szwajcaryi poety, Jana Pietrzyckiego, odbyło się w ubiegłym miesiącu odsłonięcie tablicy pamiątkowej w Lozannie na domu, w którym w roku 1840 mieszkał Adam Mickiewicz, jako profesor lozańskiego uniwersytetu — oraz odsłonięcie w sąsiedniej Genewie tablicy pamiątkowej Juliusza Słowackiego, który — jak wiado mo — przebywał w tem mieście w latach 1833 1836. Z mieszkań głośnych Polaków w Szwajcaryi są również oznaczone pamiątkowemi tablicami: dom w Solurze, w którym zmarł Tadeusz Kościuszko i dom w Zurychu, gdzie ostatnie lata przeżył Andrzej Towiański. Czytelnikom naszym podajemy dziś fotografie tablic pamiątkowych Mickiewicza i Słowackiego.

Z frontów bojowych.

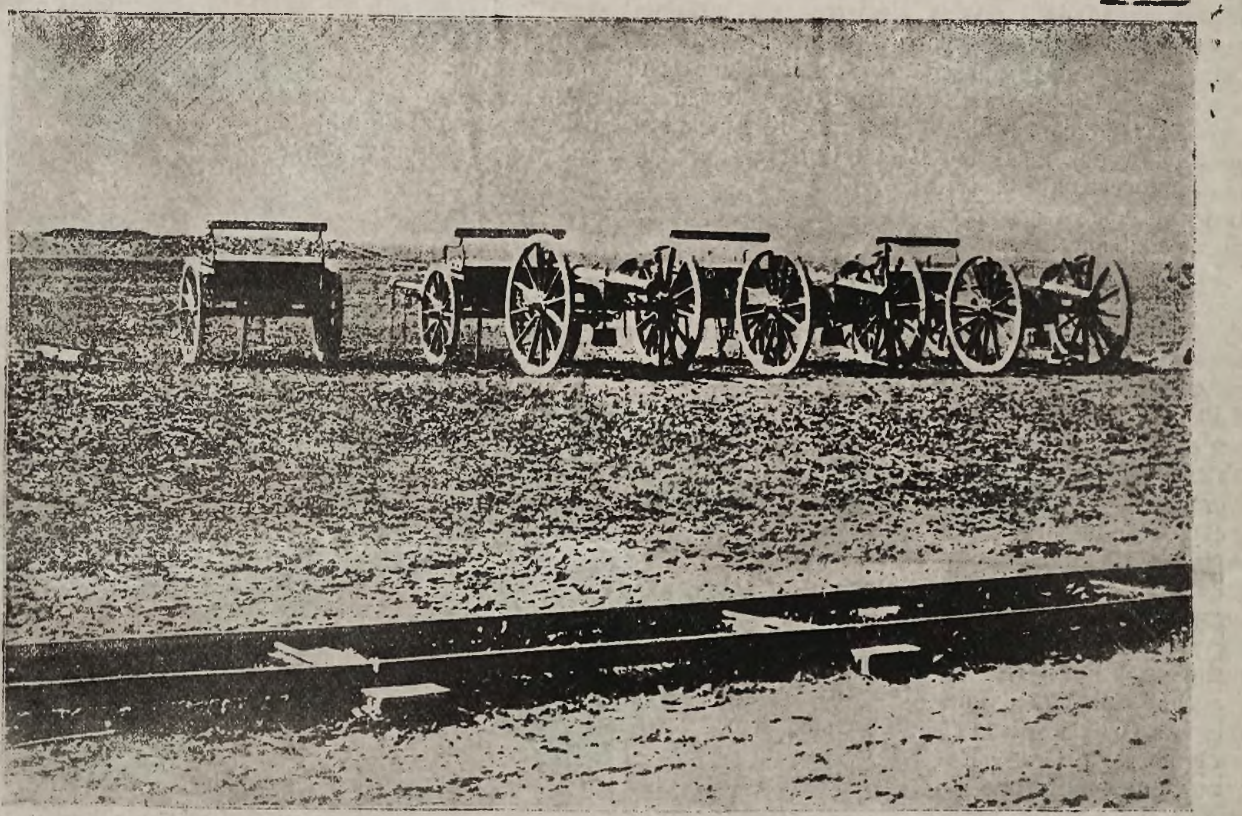
Wojna zbliża się ku końcowi. Gdy na widowni politycznej coraz donośniej rozbrzmiewa głos jaskó-



Z frontów bojowych: Zdobyte przez austro-węgierskie wojska na południowym froncie olbrzymie włoskie działo okrętowe.

łek pokojowych, na frontach bojowych stoją armie w oczekiwaniu ważnych, decydujących wypadków. Zwłaszcza na zachodzie panuje u obu armii silne naprężenie z powodu widocznych ruchów wojskowych po stronie francuskiej. Anglicy rozszerzyli cokolwiek swój front i ich pozycye sięgają obecnie aż pod Peronne. Uwolnione w ten sposób oddziały francuskie zostały, zdaje się w tył cofnięte i będą prawdopodobnie użyte na innym odcinku jako rezerwy.

we wschodniej części Franche Comté przeprowadzono cały szereg robót fortyfikacyjnych, porobiono okopy, ustawiono zapory z drutu kolczastego i przeciągnięto kable elektryczne.



Pogrom Rumunii: Rumuńskie działa, zdobyte przez załogę austryacko-węgierskich monitorów na jednej z wysp dunajowych koło Zimnicy.



Pamięci poetów polskich w Szwajcaryi: Tablica pamiątkowa Słowackiego w Genewie na przedmieściu Paquis przy ulicy Monthoux l. 34.

W każdym razie odbywa się we Francyi przesuwanie wojsk, które musi znaleźć swój praktyczny wyraz w jakiejś częściowej ofenzywie. Jest jednak rzeczą wątpliwą, aby już teraz sprzymierzeni przystąpili do wykonania swoich planów.

Pora obecna jest najniedogodniejsza dla każdej zaczepnej kampanii; w całej Francyi północnej panują silne chłody, a wiatry północne utrudniają pobyt w polu. W tych warunkach każda walka byłaby podwójnem narażeniem żołnierzy, zwłaszcza w razie ataku; dopiero w połowie lutego może nastąpić atmosferyczna zmiana, która pozwoli na przeprowadzenie szerszej wojennej akcyi. Aż do tego czasu obie strony będą tylko wzajemnie wymacywać swoje pozycye, szukając łatwych i podatniejszych do ofenzywy wycinków.

Entente jest zmuszona podjąć akcyę zaczepną na większą skalę, gdyż inaczej rządy francuski i angielski, które tak brutalnie odrzucały propozycye pokojowe, narażą się ze strony swoich ludów na zarzut niekonsekwentnej i dwuznacznej polityki. Jeżeli nie chcą pokoju, muszą mieć wielkie nadzieje zwycięstwa i powinny jak najprędzej dać hasło do wojny zaczepnej. Zmiana głównodowodzącego we Francyi jest także oznaką energicznej akcyi. Taktyka kunktatorska Joffre'a nie zadowolniła opinii publicznej, której jenerał Nivelles musi zaimponować jakimś świetnym czynem. Zwłaszcza po sukcesie pod Verdun, skłonni do przesadnych nadziei Francuzi oczekują od nowego generalissimusa rzeczy nadzwyczajnych. Wszystkie te momenty psychologiczne składają się na wytworzenie ciężkiej atmosfery, która prędzej czy później musi się wyładować w jakiejś krwawej burzy. Armie niemieckie, rozstawione na zachodzie, oczekują spokojnie dalszych wypadków. Przebywszy pomyślnie straszliwą ofenzywę nad Sommą, mogą teraz bez obawy przyjąć nowe uderzenia przeciwników. Żelazny mur, opasujący Francyę od południowych krańców Wogezów do Oceanu Atlantyckiego, nie pęknie pod najsilniejszym naciskiem.

Na północnym wschodzie, pomimo mrozów i zasp śnieżnych, Rosyanie urządzają od czasu do czasu wypady, których celem jest zmusić przeciwników do ciągłej czynności i nie dopuścić do ściągnięcia rezerw na inne fronty. Utarczki, stąd wynikające, są stosunkowo krwawe i kosztują Rosyan dużo jeńców i rannych. W ostatnich dniach atakowali gwałtownie pozycye niemieckie nad rzeką Aa w Kurlandyi, przez co wywołali kontrofenzywę, w ciągu której ponieśli dotkliwą porażkę.

Z Wołynia dochodzą wieści o gromadzeniu wojsk rosyjskich na froncie łuckim, coby wskazywało, że tam ma nastąpić najbliższy wypad. Na froncie galicyjskim panuje względny spokój. Ale coraz głośniej mówi się tam o ewakuacyi Stanisławowa przez Rosyan, co pozostaje prawdopodobnie w związku z wydarzeniami wojennemi w Mołdawii. W Karpatach wielkie opady śniegowe wstrzymują wszelkie operacye, a chociaż Rosyanie wykonali pod Mesticanesti kilka silniejszych ataków, były to tylko demonstracyjne wypady, mające na celu choćby minimalne odciążenie frontu mołdawskiego.



Wielki książę Mikołaj dyktatorem: Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz.

Główne wypadki rozgrywają się nad dolnym Seretem, gdzie Rosyanie podejmują rozpaczliwe wysiłki, aby utrzymać się jak najdłużej na prawym brzegu. Po zdobyciu szturmem przyczółka mostowego w Nanesti, położenie ich staje się z każdym dniem trudniejsze: wprawdzie nocnym atakiem wyparli Turków z Vadeni, pomiędzy Brailą i Gałaczem, ale tureckie oddziały cofnęły się na sąsiednie wzgórza, a ich artylerya panuje nad rosyjskiemi pozycyami. Gałacz stoi od dłuższego czasu pod ogniem ciężkiej artyleryi z cypla Dobrudży i z lewego brzegu Dunaju od strony Braily. W mieście runęło już



Wojna wynalazków: Miny rumuńskie, wyłowione z fal Dunaju przez austryacko-węgierskie monitory.

kilkaset budynków, główny dworzec jest zupełnie zniszczony, a urządzenia portowe silnie uszkodzone. Ludność przeważnie opuściła miasto. Rosyanie próbują odpowiedzieć ogniem dział z pod Reni, co jednak dotychczas nie dało żadnego rezultatu. Komunikacya lądowa i wodna pomiędzy Reni i Gałaczem jest zupełnie przerwana i z tej strony nie mogą nadchodzić ani posiłki ani amunicya z Rosyi.

Główny jednak nacisk wywierają wojska niemieckie i austryackie z dolin karpackich zachodniej Mołdawii, posuwając się tam powoli naprzód pomimo zaciętego oporu Rosyan. Obrona tego wycinka ma decydujące znaczenie dla kampanii w południowej Mołdawii; jeżeli bowiem sprzymierzonym powiedzie się dotrzeć do Seretu, a wzdłuż rzek Putny i Susity i wziąć pod ogień linię kolejową biegnącą wzdłuż lewego brzegu Seretu, Rosyanom nie pozostanie nic innego, jak opuścić pozycye nad dolnym Seretem i cofnąć się dość daleko na północ. Widocznie w obozie rosyjsko rumuńskim panują pod tym względem silne obawy, gdyż dwór i rząd rumuński opuszczają Jassy, szukając bezpieczniejszego na razie schronienia w Kiszyniewie i Odessie. — Tak więc oczekiwać należy w najbliższej przyszłości gwałtownych walk nad Seretem, które zadecydują o losach mołdawskiej kampanii.



Szlakiem bojowym Legionów: Postój artyleryi.

Wielki książę Mikołaj dyktatorem.

Przesilenie, jakiego od dłuższego czasu widownią jest Rosya, wzmaga się z każdym dniem. — Wrogie partye polityczne nie przebierają w środkach walki, starają się za każdą cenę umocnić swe wpływy i ująć w swe ręce ster spraw państwowych, rząd z każdym dniem traci coraz bardziej na swej powadze, nic też dziwnego, że prawie co tydzień zmieniają się ministrowie, co zresztą nie jest nadzwyczajnością w kraju intryg dworskich, gdzie taki Rasputin mógł wydawać rozkazy, od których nie było odwołania.

Dobry przykład krajowi daje dwór carski, podzielony również na dwa wrogie obozy. Na czele jednego z nich stoi wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, stryj cara, były generalissimus rosyjski, który zupełnie otwarcie ogłasza, że porządek nastąpi dopiero wówczas, jeśli się zdetronizuje obecnego cara Mikołaja, a on zajmie jego miejsce. Przez jakiś czas, po nieudałej ofenzywie w Galicyi, znaczenie jego podupadło, a car zebrał się na odwagę i wysłał swego stryjaszka „ze względów na nadwątlone zdrowie" na Kaukaz, gdzie mu powierzył namiestnictwo i dowództwo wojsk, byle tylko w Petersburgu się nie pokazywał.

Ale i to nie na wiele się przydało, spokój mimo to nie nastał. Z głębi Rosyi nadchodzą drogą przez kraje neutralne najrozmaitsze wieści, nieraz bardzo sprzeczne, wynika z nich jednak, że kraj stoi w przededniu rewolucyi i to bynajmniej nie pałacowej, do jakiej dążył wielki książę Mikołaj, ale ogólnej. Opowiadają, że bardzo wysoko położone osobistości przedłożyły carowi memoryał, pozostający w związku z obecnem przesileniem, tudzież „pewnemi innemi wydarzeniami", a przedstawiający właściwy obraz wewnętrznych stosunków Rosyi. Memoryał ów miał na carze wywrzeć głębokie wrażenie, ale też i na tem tylko się skończyło.

Ministerstwo spraw wewnętrznych natomiast wydało już cały szereg zarządzeń na wypadek wybuchu rewolucyi w Rosyi. Między innemi ma być zaprowadzoną dyktatura z nieograniczoną władzą. W związku z tem mają nastąpić znaczne zmiany w zarządzie Kaukazu. Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, który widocznie przyszedł już do zdrowia, przeniesi się podobno do Petersburga, ma bowiem zostać dyktatorem Rosyi.

W ten sposób bliskie byłoby już spełnienie się jego marzeń. Przy poparciu swych popleczników mógłby bardzo łatwo posiąść koronę Romanowów. Od stanowiska dyktatora do tronu carskiego jeden tylko krok, a z pewnością odważy się na niego energiczny i ambitny książę.

Car w każdym razie zatrzymuje nadal dowództwo nad armią.





Z frontów bojowych:

Zniszczony pociskami kościół w Craonne.

Niemiecki rów strzelecki (zabezpieczony drutami) w ogniu nieprzyjacielskim.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

18

— Panno Heleno — przerwał wreszcie Ludwik milczenie — czy pamięta pani naszą pierwszą rozmowę, wtedy, przy Błoniach?

Hela skinęła głową.

— Widziałem, że pani wtedy była bardza smutna... Pani wogóle często bywa smutna... Ale wówczas pani płakała nawet... O! Niech pani nie zaprzecza... Widziałem... Jeżeli to, o co zapytam, wyda się pani zbyt śmiałe, to proszę niech pani wybaczy i nie odpowie... Ja jednak zapytam... Dlaczego pani wtedy płakała?...

— Mogę panu na to odpowiedzieć... Wspominałam już o tem, że moje stosunki rodzinne pozostawiają wiele do życzenia... Miałam wtedy przykre zajście z matką... i szłam na Błonia, aby się wypłakać w samotności... Beksa ze mnie czasem — uśmiechnęła się trochę z przymusem.

— Ach! Tak — odezwał się z ulgą Rażycki — to tylko tyle...

Hela podniosła na niego zdziwione oczy.

— A pan myślał, że...

— Powiem pani szczerze. Sądziłem, że to ktoś bardzo pani drogi... bardzo kochany... inaczej kochany niż matka... rozumie pani, wyrządził pani przykrość i dlatego pani płacze...

Dziewczyna uśmiechnęła się smutnie.

— O, nie! Dalekie były takie myśli odemnie wówczas...

— Wówczas — podchwycił Ludwik — ale przedtem... dawniej... a może potem... Czy pani kochała już?...

Chwila milczenia naprężonego oczekiwania.

— Tak, kochałam. — odpowiedziała jakimś głuchym głosem.

Ludwik odwrócił trochę głowę, aby nie widziała, że pobladł...

— Więc... dlaczegóż?...

— Dlaczego nie kocham już? Ach! Panie Ludwiku, gdyby pan wiedział...

— Czy on... nie kochał pani?...

— Ach! Nie... daleko gorzej...

— Czy może był żonaty?...

— I to nie... Nie chcę, żeby się pan gubił w przypuszczeniach... Jeżeli pan ciekawy, to opowiem panu tę historyę której nie opowiadałam dotychczas nikomu, oprócz Kornelce Witowtównie... Ale niech pan przygotuje się na to, że usłyszy coś strasznego, na co się dusza wzdryga...

— Siądźmy. — szepnął Ludwik, wskazując wielki, płaski, zielskiem obrosły głaz przydrożny.

Hela posłusznie usiadła.

— Miałam wtedy niespełna lat ośmnaście — zaczęła drżącym lekko głosem — i głowę pełną ideałów... Marzyłam o pracy dla Polski, rwałam się do czynu... Zapisałam się do stowarzyszenia młodzieży, które miało przygotowywać walkę o niepodległość... Co prawda, więcej tam było gadania i politykowania, niż istotnej roboty, jak to zwykle u bardzo młodych i niedoświadczonych, ale w sercach paliły się szlachetne uczucia... Tam poznałam jego... Jak się nazywał, mniejsza o to... Obym mogła wymazać to imię z mojej pamięci... Zresztą on się właściwie nazywał inaczej... Był jednym z tych, którzy najpiękniej, najgoręcej przemawiać umieli... A przemawiał często i na wiecach publicznych i na zebraniach poufnych... Porywał wszystkich swoją wymową, bo zawsze najbardziej przekonywujące znajdował argumenty...

I do każdej najniebezpieczniejszej pracy konspiracyjnej chciał przyłożyć rękę... A jaki był uczynny, usłużny... Jeżeli któryś z kolegów był w potrzebie, on zaraz sam zapraszał się z pożyczką, jeżeli ktoś z Królewiaków potrzebował paszportu, aby przebyć granicę — zawsze umiał się wystarać... To też lubiany był i podziwiany ogólnie... Raz, co prawda, słyszałam, jak medyk Wroński, starszy już człowiek, który w życiu rozmaite przebył koleje, mówił o nim:

„Nie podoba mi się ten... Miesza się, jeżeli mu nagle i niespodzianie spojrzeć prosto w oczy.“ Ale Wrońskiego zakrzyczano, a ja tylko pogardliwie wzruszyłam ramionami... Bo ja wierzyłam... ja widziałam w nim promiennego rycerza wolności, który walczy o lepsze jutro!... Och!..

Z piersi dziewczyny wydobył się jakiś głuchy jęk!.. Hela urwała, twarz ukryła w dłoniach, a rumianki wysunęły się jej z rąk i rozsypały się po trawie.

— No i cóż dalej? — pytał wzruszony Ludwik — To był bardzo zły człowiek... To był jakiś zbrodniarz, prawda?!

— Gorzej niż zbrodniarz, to był zdrajca, szpieg, opłacany przez „ochranę!“ Czy może pan pomyśleć sobie coś potworniejszego?... Bodajbym była ogłuchła i oniemiała, zanim go poznałam... Bo może ja nieświadomie, przez głupotę moją zaszkodziłam komu... On tak zręcznie umiał wypytywać mnie o różne rzeczy, o rozmaitych znajomych, kolegów, koleżanki!.. Och! Panie Ludwiku, kiedy sobie to przypomnę, to wstręt zbiera mnie do samej siebie... Tak być głupią, tak wstrętnie głupią!..

— Panno Heleno! Niech się pani uspokoi — szepnął współczująco, serdecznie Ludwik — toż nie pani wina... Nie panią jedną oszukał... Tacy ludzie bywają szalenie sprytni... No i jak się to wydało, kim jest właściwie ten pan?...

— Już od pewnego czasu wśród naszych kół koleżeńskich szły dziwne szepty... Ktoś zwrócił uwagę, że paszporty, o które stara się on, mają dziwnego „pecha“... Kto z nich korzysta „wsypuje się“... Ten i ów zaczynał się dziwić, skąd on bierze tyle pieniędzy, bo istotnie pożyczał na prawo i na lewo, ubierał się elegancko, jadał w pierwszorzędnej restauracyi i bywał w kawiarniach, w teatrze...

Pamiętam, że nawet jedna z koleżanek ostrzegła mnie, abym była ostrożną i unikała jego towarzystwa, bo ciążą na nim przykre podejrzenia... Ja wzgardziłam tą przestrogą z oburzeniem i gniewem... Ufałam mu... Uderzyło mnie to jednak, że w rozmowach ze mną okazywał niezwykłe jakieś zdenerwowanie i usilnie nastawał na to, abyśmy się oficyalnie zaręczyli... Ja trochę instynktem wiedziona, a trochę z bojaźni przed rodzicami, odwlekałam te zaręczyny... No i wreszcie policya położyła kres wątpliwościom! Dalszy ciąg tej historyi należy do aktów sądowych! Może pan nawet domyśla się, kto to był, boć głośno było o tej sprawie... A co ja przecierpiałam wtedy...

— Biedna, biedna panno Helu... — szeptał Ludwik. — Niech pani już nigdy nie mówi o tem z nikim... Niech pani stara się zapomnieć o tej ohydzie!...

— O, gdybym mogła, żelazem rozpalonem wypaliłabym to wspomnienie!... Od tego czasu załamało się coś we mnie... Usunęłam sie od koleżeńskiego życia, od pracy społecznej... Przestałam wierzyć w szczęście...

— Nie! — wybuchnął Rażycki — Niech pani tak nie mówi!... Czyż dlatego, że pani na swej drodze spotkała wyjątkowego łotra, to życie pani miałoby być podcięte!... Nigdy! Nowe, wielkie uczucie zatrze chydne wspomnienia!...

— Mnie się zdaje, że chyba nie... — szepnęła Hela, ale jakoś bez przekonania.

— A ja jestem pewny, że tak!... — powiedział Ludwik silnym despotycznym tonem.

Ujął rękę Heli i uwięził ją w swojej.

— Panno Heleno! Za szczerość tak wielką tak niezwykłą, dziękuję! Niech pani wierzy, że umiem ją ocenić!... O jedną rzecz poproszę panią... Pani przestanie myśleć o tamtym — będzie się starała zapomnieć — dobrze?... Pani będzie weselszą — czy dobrze, panno Helu...

Mówił bardzo cicho, szeptem niemal, ale w szepcie tym dźwięczały tony mocne i gorące.

Ręka dziewczyny wysunęła się z jego dłoni, powoli, miękko.

Hela milczała chwilę.

— Dobrze... — odpowiedziała wreszcie równie cicho.

— Dziękuję...

Nagle zerwała się i zaczęła się śmiać zbyt głośno i nienaturalnie.

— No, dosyć tych rozczulań, bo się rozmazgaję zupełnie!... A tośmy się zagadali... Już prawie ciemno..! Chodźmy, chodźmy prędzej...

— — — — — — — — — — —

Ludwik powrócił do domu w doskonałym humorze, rozpromieniony, z sercem, rozkołysanem radosnem marzeniem. W takiem usposobieniu pragnął widzieć wokół siebie same wesołe, zadowolone twarze, to też uderzyło go to niemile, że Józia przy kolacyi siedzi cicha, smutna, zasępiona i nie odzywa się wcale.

— Cóż to panna Józia dzisiaj nie w humorze? — zwrócił się ku niej.

— Nie wszystkim zawsze może być tak wesoło, jak panu. — burknęła dziewczyna.

— No, cóż się stało? Czy panią główka boli, czy może Michnik był nie rzeczny?!. — próbował Ludwik żartować, ale widząc, że Józi napływają łzy do oczu, rzekł już zupełnie poważnie:

— Nie! Pani ma doprawdy dzisiaj jakieś zmartwienie... Niechże je pani wypowie... Może coś poradzimy. Jest pani przecież pomiędzy przyjaciółmi...

Józia nie odpowiedziała, ale na ciemnych jej rzęsach zawisły jasne krople łez.

Teraz dopiero oboje Walczakowie zwrócili na nią uwagę. Anielka wpatrzyła się badawczo w zmienioną twarz przyjaciółki.

— Tobie coś jest, Józiu!... Przed kilku godzinami byłaś tak wesoła, śpiewałaś i śmiałaś się, aż cię w całym domu słychać było... A teraz nagle... Co się stało?... Czyś może wieczorną pocztą dostała jaki list?..

— Tak... od tatusia... — odpowiedziała cicho Józia.

— Oj, te listy od twojego ojca!... No, cóż tam nowego?

Józia wyjęła z kieszeni fartuszka list i podała go Anielce.

— Masz... czytaj... Nie zawiodły mnie przeczucia...

Anielka szybko przebiegła wzrokiem niedługi list i zmarszczyła brwi z widocznem niezadowoleniem.

— Cóż pisze pan Maliniewicz? — zapytał Walczak.

— Czy można powiedzieć, Józiu?

— Naturalnie. To przecież żadna tajemnica, a ja rady życzliwej potrzebuję...

— Ojciec donosi Józi — zaczęła Walczakowa — że o jej rękę oświadczył się jakiś profesor Stobiński... Pan radca go przyjął, bo uważa go za odpowiedniego męża dla Józi... Ślub ma się odbyć w niedługim czasie, naturalnie, jeżeli się Józia na to zgodzi... To jest, tego ostatniego zastrzeżenia zapomniał pan Maliniewicz dodać pewnie przez pospiech lub przez roztargnienie..

— Oj! Nie przez pospiech, ani przez roztargnienie! — westchnęła Józia.

— Co to za Stobiński? — zapytał zaciekawiony Ludwik. — Panno Józiu, czy to przypadkiem nie ten, który wygląda jak wymoczony w beczce śledź i zwija się, jakby był z gumy, albo z gutaperki?...

— Ten sam! Tylko o oczach pan zapomniał... Tak mu się błyszczą jak kotowi, kiedy się czai na mysz!.. Brr! Zimno mi się robi, kiedy go sobie przypomnę...

— Więc to pani konkurent? — rzekł Ludwik — Teraz rozumiem...

— Co pan rozumie?

— Ach nic... Przypomniałem sobie tylko jedną rozmowę z panem Stobińskim, bo i ja miałem tę nieprzyjemność, że go poznałem... Istotnie, wstrętna kreatura!.. Że też to ojciec wybrał pani takiego... Biedna panno Józiu!... — mówił ze szczerem współczuciem — Ależ to niepodobna, żeby pani poszła za niego!...

— No! Chyba... — wybuchnęła Józia — Ale co ja zrobię, jeżeli ojciec się uprze?!..

— Naturalnie — zawołała Walczakowa — że niema mowy, aby Józia szła za mąż za tego pana Stobińskiego, jeżeli nie tylko nie kocha go, ale wprost czuje do niego antypatyę!... Przecież ojciec nie będzie cię przymuszał!... Wprawdzie list jest pisany w tonie stanowczym i w ten sposób, jakby to już była rzecz zdecydowana i przesądzona, ale jeżeli wytłumaczysz ojcu, poprosisz...

— Moja Anielko — powiedziała bardzo posępnie Józia — już raz mówiłam ci, że nie znasz mojego ojca!... On tam dużo będzie zważał na moje zdanie i sympatye... Dotychczas tatuś nie pozwalał nawet mówić przy mnie o małżeństwie, a teraz tak pospiesznie, jakby się paliło, chce mnie wypchnąć!... Widocznie ma jakiś obmyślony plan i od niego nie odstąpi, o nie... Jeżeli się oprę, to mnie ojciec zamknie na jakiej klasztornej pensyi, albo wypędzi z domu... I co ja wtedy zrobię? Gdzie pójdę? Przecież ja właściwie niczego nie nauczyłam się, nic nie umiem... — dokończyła ciszej, jakby z zawstydzeniem, uświadamiając sobie swoją nieudolność.

— Ależ ty wpadasz w ostateczności, Józiu — rzekła Walczakowa — Twój ojciec nie okaże się przecież takim tyranem i despotą!... Pamiętasz, jak to było w Pradze? Ostatecznie dał się ułagodzić i przejednać!...

— Tak! Tobie i pani Winnickiej, ale mnie napewne nie będzie chciał słuchać!... Jeszcze dobrze, że tutaj jestem i mogę się was poradzić, ale, jeżeli tatuś każe mi zaraz wracać do Krakowa, to przepadłam!... Chyba — dodała błagalnym tonem — żebyś ty, Anielko, napisała... Tatuś zawsze z takiem uwielbieniem, z takim szacunkiem odzywa się o tobie...

— Czy ja wiem... — zaczęła wahająco Anielka, ale przerwał jej mąż...

— Nie, Anielko, to nie ma sensu.. Przecież pan Maliniewicz i panna Józia to nie małe dzieci, których trzeba pilnować, żeby sobie noska nie powalały... Twoje wmieszanie się wyglądałoby trochę na intrygę... Pan Maliniewicz słusznie mógłby cię posądzić, że podniecasz jego córkę do nieposłuszeństwa

że wpływasz na nią w tym kierunku... Stanowczo, panno Józiu, musi pani działać sama... Trochę więcej odwagi i trochę więcej szczerości!... W takich razach nie można wyręczać się nikim...

— Kiedy ja się boję!... Ale, niech co chce się dzieje, ja za Stobińskiego nie pódę!... — zawołała Józia, gwałtownym ruchem ręki rzucając serwetkę na stół.

— I to właśnie napiszesz ojcu — zadecydowała Anielka — tylko w odpowiedni sposób... Zaraz jutro napiszesz list, ale nie taki hardy, krnąbrny, jak ty to czasem umiesz, lecz serdeczny, dobry, pokorny!... Pokorny, rozumiesz, Józiu?... Poprosisz, wytłumaczysz...

— Napiszę, ale wiem, że nie na wiele to się zda... — machnęła ręką ze zniechęceniem Józia.

ROZDZIAŁ XI.

— Panno Helu, czy pani już po obiedzie? — wołał Ludwik Rażycki, pukając do drzwi mieszkania panny Lidzińskiej.

— Ależ proszę, niech pan wejdzie!... Naturalnie, że już zjadłam obiad, który był zresztą również krótki i nieskomplikowany, jak szczupłemi są moje wiadomości kulinarno-gospodarskie... — śmiała się niefrasobliwie Hela — Proszę, niech pan siada...

— Ani myślę siadać i nie chcę, żeby pani siedziała!... Zamierzam porwać panią na spacer... Chyba, że pani chce się przedrzemać po obiedzie?

— O! Co to, to nie... Nigdy we dnie nie sypiam... „Nie czas, nie czas na sen tobie, ty się jeszcze prześpisz w grobie". — zadeklamowała Hela z zabawnym patosem.

— Zatem idziemy?

— Idziemy na grzyby...

— O! Oj, panno Helu, czy pani zamierza popełnić samobójstwo, czy zbrodnię?!

— Przepraszam, proszę mi nie urągać... Ja się znam na grzybach... Od czasu, kiedy jestem na wsi, studyowałam pilnie tę gałąź botaniki... Po pierwsze, grzyby bardzo lubię, a powtóre to bardzo tania potrawa, a taka rzecz w wojennym budżecie galicyjskiej nauczycielki nie jest do pogardzenia...

Roześmiali się oboje bez wyraźnej przyczyny, ot! tak, jak śmieje się młodość, której dobrze i wesoło... Bo w tej chwili było im bardzo dobrze i wesoło...

Hela włożyła szeroką, białą „pasterkę", opasaną czarną aksamitką, zawiesiła na ręce koszyczek na grzyby i rzekła:

— No, jestem gotowa. Chodźmy!

— Jakże poszły lekcye? — zapytał Ludwik, kiedy wyszli przed dom.

— O! Wcale nie najgorzej! Lepiej, niż się spodziewałam... Moje dzieciaki wcale nie takie straszne... Co prawda, gapiątek nie brak pomiędzy niemi, ale są także zabawne i milutkie... Kilkoro przyszło haniebnie umorusanych i musiałam je energicznie szorować, a wszystkim prawie trzeba było tłumaczyć użytek chusteczki do nosa...

Ludwik spoglądał na nią z podziwem i zachwytem. Jak ona mówi o tem wszystkiem swobodnie i wesoło... A jednak chyba nie tak łatwo było jej przywyknąć do nowych warunków życia do rozmaitych braków i niewygód.

Dzielna, odważna dziewczyna!...

Słońce złotą falą oblewało twarz Heli, jakby chcąc uwydatnić, wyzłocić, ożywić jej oryginalną urodę.

Smagławe, blade przedtem policzki dziewczyny nabrały na wsi zdrowszej cery, usta zaróżowiły się silniej, czarne oczy błyszczały jak dyamenty.

— Ależ wieś służy pani. — rzekł nagle Ludwik — Jak pani wypiękniała!...

— Proszę mnie tylko nie karmić pochlebstwami, bo się pogniewamy!... Nie znoszę, nie cierpię komplementów!...

— Przedewszystkiem, to nie żaden komplement, tylko szczera prawda... Ale w to, żeby pani miała nie lubić komplementów, nie wierzę!... Każda kobieta lubi słuchać o tem, że jest piękna i że podoba się...

— Dobre ma pan wyobrażenie o kobietach!

— Jak najlepsze!... Kobieta pragnie się podobać, to jest naturalne i wrodzone... Można to zaobserwować zarówno u pięcioletniej dziewczynki, jak u zgrzybiałej staruszki, tak u analfabetki, jak u najściślejszej matematyczki, czy filozofki... Kobieta, która nie chce się podobać, o ile wogóle taka istnieje, to już musi być specyalny dziwoląg...

— Nie pleść głupstw, tylko patrzeć przed siebie i podziwiać!... Jak tu cudnie! Teraz dopiero rozumiem, dlaczego się mówi: piękna. polska jesień...

Dzień był pogodny, słoneczny, ale trochę wietrzny. Za każdym podmuchem wiatru od drzew odrywały się i leciały liście, migocąc różnorodnemi barwami; jasno-żółte, krwawo czerwone, rdzawe, ciemno-żółte.

Drzewa w sadach uginały się pod ciężarem owoców: złocisto zielonych renet, rumianych „jesionek", żółtawych gruszek i fioletowych śliw.

Od poczerniałych szorstkich ściernisk odcinały jaskrawo ciemno-zielone pola ziemniaczane i modre zagony kapusty.

Krajobraz przetkany był złotem i purpurą, mienił się całą gamą barw i odcieni, błyszczał niemi, wdzięczył się jak piękna, dojrzała kobieta, która blaskiem klejnotów podnosi swoją urodę.

— Cudnie, cudnie... — szeptała Hela.

— Cudnie... — powtórzył za nią Ludwik.

Nierówną, spadzistą ścieżką zeszli z górki na gościniec, chcąc go przeciąć i polami iść aż hen, pod las.

Na drodze dał się słyszeć turkot kół.

— Oho! Jedzie ktoś dorożką! — zawołała Hela — W Zalesinkach to fakt niezwykły, bo tutaj oprócz wozów chłopskich, powozów dworskich i bryczki księdza proboszcza innych pojazdów nie widuje się...

— Co ja widzę?! To pan Stobiński!... — wykrzyknął zdumiony Ludwik — No! No!...

Istotnie, to pan Stobiński jechał tą rozklekotaną, odrapaną dorożką małomiasteczkową.

Dychawiczny koń, któremu przez skórę żebra można było policzyć, musiał jednak raźno wyciągać nogi, bo, woźnica, rudy żydek z pejsami, ostro podcinał go batem. Pasażer bowiem obiecał suty napiwek, jeżeli go jak najprędzej zawiezie do zalesińskiego dworu.

Kiedy Maliniewicz powiadomił Stobińskiego o treści listu Józi, niefortunny konkurent zdecydował się na śmiały krok. Postanowił nieproszony, bez uprzedniego zawiadomienia przyjechać do Zalesinek, rozmówić się z Józią, nakłonić ją do przyjęcia jego ręki i jeżeli się da, zabrać narzeczoną odrazu do Krakowa.

Radca Maliniewicz, który teraz zupełnie czem innem niż przyszłością swojej niesfornej córki miał zaprzątniętą głowę, powiedział mu na odjezdnem:

— Rób pan, co chcesz, radź sobie, jak umiesz z tą dziką kozą, kiedy ci się jej zachciało... To już pańska rzecz, żebyś ją umiał przejednać czy przekonać... Ja swoją powagą ojcowską poprę pana i w stosownej chwili potrafię wywrzeć nacisk!... Józka musi słuchać!... Powiedz jej pan to!

— Więc pan radca słowa nie cofa? — zapytał Stobiński z bijącem silnie sercem.

— Ależ nie! Bierz ją pan sobie!... Tylko się spiesz, bo ci ją gotów kto inny sprzątnąć!.. Trzeba jej przyznać, że dziewczyna jak malowanie, no i szczęście ma... Po mnie to odziedziczyła.

Radca z zadowoleniem pogładził siwiejący już ale starannie po angielsku przystrzyżyny wąs nad kształtnemi ustami i dodał:

— A jak pan będziesz w Zalesinkach, pozdrów jak najserdeczniej panią Walczakową... To cukierek kobieta, a co za główka! Ho! Ho! Nie od parady... Radzę panu postarać się o jej względy, bo ona na Józkę ma wpływ ogromny..

Stobiński, przerażony myślą, że piękna dziewczyna której pożądał z jakąś dziką drapieżnością, którą pragnął zdobyć z wolą jej lub pomimo jej woli, może mu się z rąk wyślizgnąć, postanowił nie zwlekać.

Bez długich namysłów spakował podróżną torebkę, kupił bilet i pojechał. Jechał uzbrojony w zapas silnych, jak mu się zdawało, argumentów i w silniejsze jeszcze postanowienie.

Tak samo, jak Michnik, powtarzał sobie z uporem:

— Ona musi, musi być moja...

Dotychczas dochodził zawsze do zamierzonego celu drogą taką lub inną, gdzie nie mógł przeskoczyć, tam podłaził bardzo zręcznie, ale wkońcu postawił zawsze na swojem.

A teraz miałoby mu się nie udać?! Nigdy!... Trudniejsze już rzeczy przezwyciężał, niż kaprys ośmnastoletniej dziewczyny.

Stobiński był synem praczki z przedmieścia, którą ogarnęła nieprzeparta ambicya, aby swego jedynaka koniecznie wykierować na „pana"...

Oddała go więc do gimnazyum, chociaż chłopiec nie zdradzał ani większych zdolności, ani zamiłowania do nauki. Jednakowoż do gimnazyum chodził chętnie, bo uważał je za środek do wyzwolenia się z wilgotnej izby matczynej, pełnej zaduchu mydlin i brudnej bielizny.

Uczył się słabo, ale z klasy do klasy przechodził, bo umiał zawsze tak prosić, błagać, przychlebiać się, w razie potrzeby wylewać łzy i całować po rękach, „że dla świętego spokoju dawano mu pierwszą"...

Jeżeli jednak któryś z profesorów był nadto uparty i obstawał przy swojem, że „ten Stobiński, to tępy mózg", wówczas zjawiała się matka i takim wrzaskiem i lamentem napełniała kancelaryę gimnazyalną, że aby się jej pozbyć trzeba było ustąpić.

Pochlebstwem też i płaszczeniem umiał młody Stobiński wyjednać dla siebie stypendya i zapomogi, często ze szkodą zdolniejszych, a biedniejszych.

Pośród kolegów nie cieszył się sympatyą i zdala trzymał się od współżycia koleżeńskiego.

Przezywano go „lizusem" i „matołkiem".

Drwili z niego eleganccy paniczykowie o wykwintnych manierach, poniewierali nim nieraz silni, zdrowiem tryskający synowie chłopscy, lekceważyli go wszyscy koledzy intelligentniejsi, o umysłach wcześnie rozbudzonych.

A on odpłacał im to lekceważenie z nawiązką, jeżeli się dało.

Ale najczęściej kurczył się w sobie i nienawiść swoją przyoblekał w formy obłudnej, nadskakującej grzeczności.

Młodość jego nie znała wzlotów nad poziomy! Jak glista pełzał przy ziemi i wcześnie uczył się chytrości, podstępów, obłudy.

Kiedy nareszcie zdał maturę, obrał sobie na uniwersytecie wydział klasycznej filologii. Bezmyślne kucie słów i form gramatycznych greckich i łacińskich najwięcej odpowiadało jego usposobieniu. W gimnazyum dostał nawet raz z łaciny „dobrze" i od tego czasu uważał się za tęgiego łacinnika. Przez uniwersytet podobnie jak przez gimnazyum przeszedł, zginając kark przed tymi, którzy o losie jego rozstrzygać mieli.

Dopiero, gdy dzięki usilnym staraniom dostał posadę nauczycielską w Krakowie, odetchnął i wyprostował się... Nareszcie zdobył cel swych marzeń, wygodne stanowisko urzędnika, który może obowiązek swój spełniać ściśle wedle przepisów i musi automatycznie awansować. Bo zawód nauczycielski dla Stobińskiego nie był niczem innem, jak tylko pewną kategoryą stanu urzędniczego. O roli pedagoga, kierownika młodzieży, nie myślał wcale.

Pan Stobiński, otrzymawszy stałą posadę, doszedł do wniosku, że dobrze byłoby ożenić się. I ożenek też jednak odwlekał się, bo Stobiński miał wymagania duże, a szczęścia do kobiet nie miał stanowczo. Jeszcze za czasów gimnazyalnych, jeżeli kiedy zaczepił na ulicy jakiegoś podlotka, to panienka albo odwracała się i z najwyższem oburzeniem mówiła: „I taki jeszcze chce zaczepiać?!" albo też zmierzyła go tak pogardliwem spojrzeniem, że uciekał odrazu...

Pewnego razu Stobiński miał jakiś interes do radcy Maliniewicza i poszedł do niego do domu. Wtedy poznał Józię, która dopiero co wróciła z Pragi.

Poznał i zakochał się w niej po swojemu.. Uroda młodziutkiej dziewczyny i jej wdzięk drażniący rozpętały w nim głodne zmysły, rozpaliły namiętne pragnienie, wzbudziły silną, niezłomną wolę, by tę uroczą kapryśnicę posiąść na własność! Stobiński kochał się w Józi, ale niemniej rozumował, że tak piękna żona może wzmocnić jego towarzyskie stanowisko, a nawet ułatwić karyerę.

Nie zdradził się jednak odrazu ze swem pragnieniem, nie zaczął nawet nadskakiwać Józi, tylko uporczywie szukał towarzystwa jej ojca.

Był brzydki i niemiły, nie łudził się wzajemnością Józi i wiedział, że zdobyć może tę dziewczynę tylko idąc drogami bocznemi, a chyłkiem. Szybko przejrzał Maliniewicza, ocenił jego egoizm, sybarytyzm, oschłość serca i na tych strunach postanowił zagrać.

Otoczył radcę siecią swoich starań, dość długo czekał cierpliwie, a kiedy nadeszła stosowna chwila, oświadczył się..

Odrazu powiedział, że nie tylko nie żąda żadnego posagu, ale gotów nawet jest zrzec się wyprawy...

Maliniewicz, któremu ze względu na własne projekty matrymonialne zależało bardzo na tem, by się pozbyć z domu dorosłej córki, obiecał mu rękę Józi.

Ale Józia napisała do ojca list, w którym błaga go, aby jej nie zmuszał do małżeństwa z panem Stobińskim, bo ona do niego czuje antypatyę...

Antypatyę!... Stobiński zgrzytnął zębami...

— Poczekaj, ty mała, ty cudna!... Będziesz moją żoną, a wtedy pogadamy o antypatyi... I palce Stobińskiego zakrzywiły się drapieżnie, niby szpony krogulcze.

Niech tylko zdobędzie Józię, a będzie już umiał nagiąć ją do swojej woli!...

Od czasu, kiedy Ludwik Rażycki wyjechał do Zalesinek, Stobiński dręczył się nieustannie zazdrosną myślą, że przystojny, elegancki młodzieniec o ustalonej opinii „zjadacza serc niewieścich", jest przy Józi i bałamuci ją.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

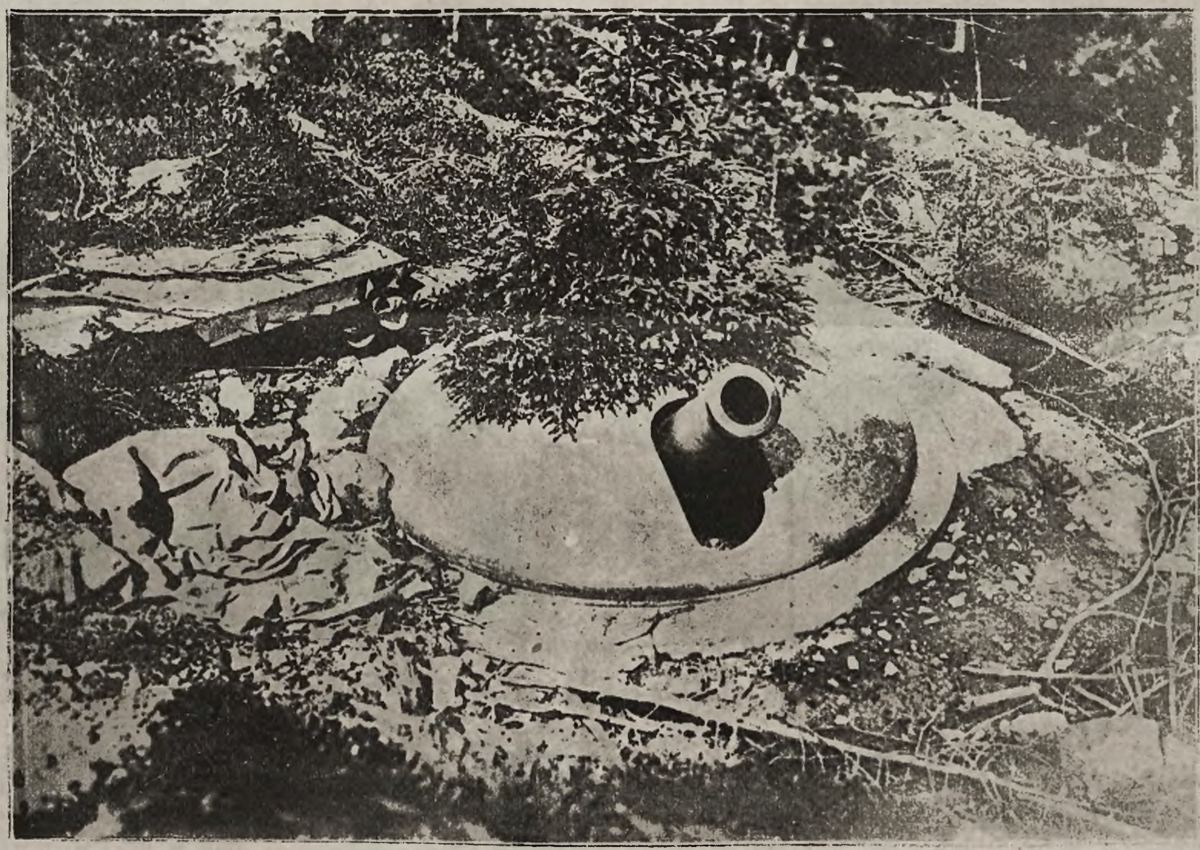
Wojna wynalazków.

Choćbyśmy najsurowiej oceniali wojnę i jej okrucieństwa, pozostające w tak rażącej sprzeczności z współczesnemi humanitarnemi pojęciami ludzkości, nie ulega wątpliwości, że obecne, niebywałe w dziejach zapasy narodów są nie tylko brutalną walką, ale także przeglądem i egzaminem sił duchowych. — Obecna wojna bowiem zmobilizowała nie tylko miliony swych obywateli, ale powołała na swe usługi wszystkie zdobycze ducha ludzkiego. Cały dorobek kulturalny ludzkości — wszystkie odkrycia, wynalazki i zdobycze techniczne, na których opierał się postęp i praca twórcza w ciągu wieków — wszystko to, z chwilą wybuchu wojny, poszło na usługi Marsa — stało się czynnikiem walki i zniszczenia. Niszczycielska potęga współczesnej broni palnej i piekielna siła materyałów wybuchowych, łodzie podwodne, siejące śmierć z głębin morza i aeroplany, rażące śmiercionośnymi pociskami z nieba — te najstraszniejsze narzędzia zniszczenia, bez których niepodobna sobie wyobrazić współczesnej wojny — to przecież plony pokojowej cichej pracy ducha ludzkiego w pracowniach i laboratoryach naukowych!

I dziś walka toczy się nie tylko na polach bitew. Po obu stronach wojujących oprócz armii walczą poza frontem uczeni i wynalazcy, by rzucić na usługi wojny nowe zdobycze ducha ludzkiego, nowe narzędzia zniszczenia...

Obecna wojna może pod tym względem poszczycić się bardzo obfitym plonem. Powstały nowe sposoby walki i nowe sposoby obrony. Jak atak odpiera się w polu kontratakami, tak każdy nowy wynalazek wojenny pociąga za sobą kontrwynalazek. Na aeroplany odpowiedziano specyalnemi działami do ich ostrzeliwania i specyalnemi ochronami pozycyi polowych, na gazy trujące — ochronnemi maskami, na podziemne miny — ostrzegawczymi aparatami!... Skutkiem tego fizyognomia obecnej wojny zmienia się ciągle i stale. Wynalazcy walczą ze sobą wciąż nowemi zdobyczami technicznemi, które decydują dziś o zwycięstwach.

Z tych nowych sposobów walki zamieszczamy w dzisiejszym numerze kilka illustracyi. Na jednej z nich widzimy osadzoną głęboko w ziemi i opancerzoną betonem haubicę austryacką w Alpach, której nie dostrzeże najbystrzejsze oko lotnika. Druga przedstawia najstraszniejszą broń podwodną — miny rumuńskie, unieszkodliwione i wyłowione przez austryackie monitory z Dunaju...



Wojna wynalazków: Austryacka pancerna haubica w Alpach, zabezpieczona przed atakami lotników.

Pogrom Rumunii.

Gdy na wszystkich niemal frontach, pomimo zapowiedzi nowej ofensywy ze strony koalicyi, panuje pewien zastój, na froncie rumuńskim toczy się zacięty bój, zbliżający nieuchronnie ostateczny pogrom Rumunii. Ani wojska rumuńskie, ani świeże siły rosyjskie, wysyłane ciągle na zagrożone punkty, nie mogą powstrzymać naporu wojsk sprzymierzonych, które w ostatnich czasach wprawdzie wolniej, ale stale posuwają się naprzód. O sytuacyi na froncie rumuńskim, gdzie skoncentrowała się obecnie najważniejsza akcya militarna w obecnem stadyum wojny, mająca zadecydować o losach Rumunii, podaje ciekawe a zaczerpnięte ze sfer miarodajnych informacye wiedeński „Fremdenblatt".

Od szeregu dni — pisze pomieniony organ — spoczywa punkt ciężkości obustronnych zapasów na froncie rumuńskim na umocnionych obozach nad dolnym i środkowym Seretem, jakimi są Gałacz i Fundeni. Militarne znaczenie obu tych przyczółków mostowych jest jednak zupełnie różne, Gałacz bowiem broni przeprawy przez Dunaj, zaś Fundeni przez Seret. Północne ramię Dunaju, t. zw. ramię Kilia, aż do ujścia odnogi św. Jerzego jest jeszcze niepodzielnie w rękach rosyjskich. Dalej jednak w górę rzeki stoją już straże bułgarskie wzdłuż zabagnionego południowego brzegu, a w obszarze Issacei zagrażają skutecznie bateryę bułgarskie każdemu transportowi wodnemu, czego dowodem, iż w ostatnim tygodniu zatopiły siedm transportów holowniczych, usiłujących w ciemnościach nocy przedrzeć się przez linię ognia. Każdy taki okręt holowniczy równa się co do swej pojemności pociągowi towarowemu o stu osiach; a ponieważ jednotorowa jedyna linia kolejowa, prowadząca z głębi Besarabii do Reni, granicznej stacyi Rumunii, nie znajduje już dostępu do linii bojowej, przeto zatamowanie drogi dunajowej stanowi dla Rosyan prawdziwą klęskę. Prowadzi wprawdzie z Reni do odległego o dwadzieścia kilometrów Gałaczu wzorowa szosa, uzupełniona podczas wojny linią kolejową, jednak



Z frontów bojowych: Zburzona fabryka w zdobytej przez wojska austryacko-węgierskie miejscowości włoskiej Arciero.

obie te drogi znajdują się już od dwóch tygodni w strefie ognia dalekonośnych dział z południowego brzegu Dunaju.

Nie należy jednak zapominać, iż na lewobrzeżnem terytoryum rzeki Seret, odgraniczonem od wschodu Prutem, posiadają Rumuni dwie linie kolejowe, biegnące naogół w kierunku północnym i poczynające się w Gałaczu. Jedna z nich, zachodnia, biegnie wzdłuż Seretu przez Tecucin do Birlad wysyłając w Tecucin poprzez Seret odnogę do Focsani, druga zaś, wschodnia, dochodzi do Birlad drogą bardziej okrężną, zbliżoną do linii Prutu. Obie łączą się w Birlad i zjednoczone już dochodzą do Jass, gdzie uzyskują połączenie z właściwą rosyjską siecią kolejową. Obie te linie pozbawione są (wyjąwszy odnogi Tecucin - Focsani) poprzecznych odnóg, któreby prowadziły prostopadle do obecnego frontu bojowego, a nadto pierwsza z nich, zachodnia, znajduje się już pod ogniem dział niemieckich ostrzeliwujących miejscami tor kolejowy prawego brzegu Seretu. Z tego też względu zrozumiałą jest uporczywość gwardyi rosyjskiej, broniącej kąta południowego, utworzonego przez Dunaj i Seret, i jej szturm na miejscowość Vadeni, z której wojska tureckie musiały się cofnąć na główną pozycyę obronną. Chodziło tu Rosyanom o odsunięcie przeciwników na taką odległość, iżby na krótki przynajmniej czas poprawić swe warunki komunikacyjne, a nadto zyskać szersze oparcie dla ufortyfikowanego obszaru Fundeni, położonego naprzeciw zdobytego przez Niemców Nanesti.

Jednak uzyskanie Vadeni niewiele zdołało położenie Rosyan poprawić. Główne stanowiska sprzymierzonych położone są jeszcze w takiej odległości od Gałaczu, iż panują nad mostem żelaznym na Serecie, należącym do linii kolejowej Braiła Gałacz, jak i nad wszystkiemi drogami, mającemi punkt wyjścia z Gałaczu. Miasto samo, urządzenia portowe, arsenał marynarki we wschodniej i koszary w zachodniej stronie miasta, ostrzeliwuje już oddawna ciężka artylerya sprzymierzonych tak ze swych stanowisk pod Vadeni, jak i z północno zachodniego kąta Dobrudży. Dworce kolejowe płoną, a objekty wojskowe amfiteatralnie rozłożonego miasta stanowią dobry cel dla artyleryi. Urządzenia portowe są zniszczone, a ogień ciężkich dział jest tak silny, iż, według relacyi rosyjskich, nawet w Reni drżą domy w posadach.



W okopach.

Szlakiem bojowym Legionów:



Schronisko przed granatami.

Natomiast względnie swobodnie może dotychczas przeciwnik rozporządzać wyżej wspomnianą wschodnią linią kolejową. Zważyć jednak należy, iż biegnie ona w zbyt wielkiej odległości od frontu, a nadto — jak wszystkie koleje rumuńskie — jest normalno torowa, więc wozy kolejowe rosyjskie nie mają na nią przystępu. Przy uszczuplonym rumuńskim parku kolejowym, przeważna jego część wpadła na Wołoszczyźnie w ręce sprzymierzonych, intenzywne wykorzystanie tej linii na rzecz rosyjskich transportów jest wykluczone, tak, iż szczególnie dowóz ciężkiego materyału wojennego, a przedewszystkiem amunicyi, napotyka na nieprzezwyciężone trudności. Przecięcie drogi dunajowej, przerwanie linii kolejowej nad Seretem, to wszystko stwarza dla południowego



Pogrom Rumunii: Życie na placu targowym w pobliżu zajętej przez wojska sprzymierzone Braiły. Żołnierze i pielęgniarki zaopatrują się w niezbędne artykuły.



Ścinanie wielkiego drzewa do budowy okopów.

Śladami armii:



Przygotowanie opału dla cegielni wojskowej.

skutkiem zwycięstwa… sk zydła rosyjsko-rumuńskiego warunki, dla dalszego przebiegu walki bardzo niepomyślnie.

Bardzo ważną rolę spełnia na froncie rumuńskim armia arcyksięcia Józefa. Mimo niesłychanie ciężkich warunków atmosferycznych, mimo braku dogodnych połączeń z Węgrami, od których oddziela ją wysoki wał Karpat mołdawskich, odparła ona wszystkie rosyjskie uderzenia, wykonane na nią w ubiegłym tygodniu, i, tkwiąc silnie w dolinach rzek Putny i Trotusu, stale trzyma w szachu rosyjską armię Seretu. Szczególnie w dolinie Putny zdołała dotrzeć niemal już do wylotu gór karpackich, tak, iż ma możność bezpośredniego skutecznego oddziaływania na środkowy bieg Seretu.

Ogółem rzecz biorąc, jakkolwiek ostatnie dni nie przyniosły na froncie rumuńskim poważniejszych zmian, niemniej jednak poprzednie sukcesy tak armii gen. Mackensena jak i arcyksięcia Józefa zdołały doprowadzić do wytworzenia się sytuacyi, wróżącej rychło ostateczną klęskę Rumunów i Rosyan na tym froncie. Że nawet oficyalne sfery rumuńskie są przygotowane na dalszy zwycięski pochód armii sprzymierzonych który musi skończyć się ostatecznym pogromem Rumunii, świadczy wymownie fakt, iż dwór i rząd rumuński nie czuje się już bezpiecznym w Jassach, gdzie dotychczas przebywał i, jak donoszą ostatnie telegramy, szuka schronienia w obcem państwie, przenosząc się do Odessy.

Z żałobnej karty.

Ciężki los dotknął znanego i cenionego artystę, chlubę sceny krakowskiej, p. Ferdynanda Feldmanna. W dniu 11. stycznia bieżącego roku zmarł na udar sercowy w Morawskiej Ostrawie brat jego, c. i k. podpułkownik Maurycy Feldmann, przydzielony do tamtejszej komendy.

Zmarły, rodem Krakowianin, ujrzał światło dzienne w roku 1859 w podwawelskim grodzie. Po ukończeniu szkoły kadeckiej w Łobzowie, poświęcił się karyerze wojskowej, pełniąc wzorowo służbę w różnych garnizonach, aż do wybuchu obecnej wojny, w której również wziął udział. Przejścia w czasie kampanii karpackiej nadszarpnęły do tego stopnia jego zdrowie, iż zmuszony był do porzucenia szeregów, walczących na froncie. Naczelna Komenda armii przeniosła go wówczas do Morawskiej Ostrawy, przeznaczając do służby lokalnej, mniej wymagającej fizycznych wysiłków i natężenia. Równocześnie awansował na podpułkownika.



Z żałobnej karty: C. i k. podpułkownik Maurycy Feldmann, zmarły w Morawskiej Ostrawie w dniu 11. stycznia b. r.

Tutaj zaskoczyła go nieubłagana śmierć w pełni męskiego wieku. Nie ujrzał już kochanego Krakowa, za którym zawsze tak tęsknił, zwłoki jego spoczęły na miejscowym cmentarzu.

Śladami armii.

Pożogą i zniszczeniem znaczą swe ślady wojujące armie. Wszystko, co stoi na drodze ich zwycięskiego pochodu, musi paść ofiarą konieczności wojennych. Ale ta sama wojna, która niszczy, musi także budować. Współczesna armia, to skomplikowana machina, do normalnego funkcyonowania której niezbędne są olbrzymie warsztaty pracy. W ślad za każdą armią muszą iść równie liczne szeregi pracowników, którzy budują drogi, magazyny, koleje i mosty, zapewniając własnej armii dowóz niezbędnych materyałów i przywracając w zniszczonym przez walkę kraju normalne życie.

I obecna wojna, która dokonała tak olbrzymiego zniszczenia, potrafiła także zadziwić świat ogromem pracy twórczej.. Tuż za linią bojową, przy odgłosie armat, wre praca, wznosząca nowe siedziby dla milionowych armii, budująca fabryki i przecinająca zniszczony kraj siecią nowych dróg i kolei...

Tę pracę, idącą w ślad za walczącą armią, przedstawiają zamieszczone w dzisiejszym numerze illustracye.

Wesoła Muza na froncie.

Pokazuje się, że nie miał racyi ten, kto swojego czasu powiedział: *„Inter arma silent Musae“*. Nie zamilkły one bynajmniej, owszem odzywają się nawet bardzo głośno i to w bezpośredniem sąsiedztwie linii bojowej, o kilkaset zaledwie kroków od pozycyi nieprzyjacielskich. Nie mamy tu na myśli przy-



Przygotowanie drzewa do budowy dróg za linią bojową.

Śladami armii:



W kuchni polowej na froncie.



Wesoła Muza na froncie: „Królowa przedmieścia“ Krumłowskiego w okopach 16. p. p. obrony krajowej.

godnych poetów, opiewających w najróżnorodniejszy sposób wojenne wypadki i przyjemności żołnierskiego życia w rowach strzeleckich w wiązanej i niewiązanej mowie, ale całkiem prawdziwą scenę polową, jakiej nie powstydziłby się niejeden lepszy prowincyonalny zespół teatralny. To tylko bieda, iż wszystkie role, tak męskie, jak i żeńskie — z powodów od dyrekcyi niezależnych — dostają się w ręce przedstawicieli płci brzydkiej. Badacz rozwoju współczesnej sztuki znajdzie w tem pewną analogię z teatrem starogreckim, nie znającym także artystek dramatycznych.

Scena polowa, o której mowa, urządzoną została za inicyatywą i poparciem niestrudzonego w wynajdywaniu środków uprzyjemnienia żołnierzom pobytu na froncie, pułkownika Hohenauera, przez artystów dramatycznych amatorów, należących do szesnastego



Wesoła Muza na froncie: „Primadonny“ wojennej sceny 16. pułku piechoty obrony krajowej przed budynkiem teatralnym.

pułku obrony krajowej, rekrutującego się z Krakowa i jego okolic. „Krakowskie dzieci“, jak o tem zresztą w jednym z poprzednich numerów *Nowości illustrowanych* już wspominaliśmy, nie straciły i na froncie, zdala od swego kochanego miasta, nic ze swej przysłowiowej fantazyi, starają się też urozmaicić sobie o ile się da, niedobrowolny i niezbyt wygodny swój pobyt w polu. Jednym z najlepszych środków okazał się teatr, prawdziwie ludowy, prowadzony znakomicie przez wytrawnych „fachowców“ i amatorów i uwzględniający w pełnej mierze repertuar rzeczywiście popularny.

Wystawiono więc z całym pietyzmem, jak donosi nasz sprawozdawca, znane w Krakowie perełki ludowej literatury dramatycznej, między innemi nie starzejącą się nigdy „Królowę przedmieścia“ Krumłowskiego, „Czarną Mańkę“, „Panią majstrową z Kleparza“ i wiele innych, a artyści-amatorzy pokazali, że równie dzielnie władają karabinem i szablą, jak



Wesoła Muza na froncie: „Pani majstrowa z Kleparza“, odegrana na scenie polowej 16 p. p. obrony krajowej.

i ze swobodą, której pozazdrościć mógłby im niejeden zawodowy aktor, potrafią poruszać się na deskach zaimprowizowanej sceny, na którą bardzo łatwo, zamiast bukietu może spaść nieprzyjacielski szrapnel. Reżyserya wspaniała, kostyumy wprost bajeczne. Patrząc na scenę, ma się złudzenie, że się jest nie w polu, w pobliżu nieprzyjaciela, ale nad Wisłą, w spokojnym Krakowie, wśród najbliższych sercu, których przypominają poruszające się na scenie postacie. Wobec tego i urzędowa „klaka“ nie jest potrzebną, serce wprawia automatycznie w ruch ręce i oklaski nie mają końca!

Kłopot początkowo był z rolami kobiecemi. Kostyumy do ról tych znalazły się łatwo, trudniej było z wyszukaniem, kogo możnaby w nie ubrać, wiadomo bowiem, że płci nadobnej w rowach strzeleckich nie uświadczy. Ale od czegóż pomysłowość Krakowiaków?.. Są kostyumy, znajdą się i artystki... I znalazły się rzeczywiście w osobach żołnierzy, którzy na chwilę zmienili mundury i szarawary na damskie bluzki i spódnice i z nadzwyczajnem powodzeniem „markirowali“ córy Melpomeny. Niewtajemniczony, patrząc na sympatyczną postać zwierzynieckiej Mańki, lub poważną „osobę“ pani majstrowej z Kleparza, aniby przypuścił, że przed chwilą dopiero wróciły obie ze „szwarmlinii“ lub rowu strzeleckiego, gdzie po swojemu dzielnie sprawiły się z Moskalami i zalały im gorącego sadła za skórę.

Kilka słów poświęcić należy także samej scenie, urządzonej według wszelkich wymogów wojennej sztuki dramatycznej i orkiestrze, zgranej wybornie. Niestety, w ostatnich czasach pociski rosyjskie zrujnowały doszczętnie budynek teatralny, a Melpomena znalazła się bez dachu nad głową! Jednej tylko rzeczy brak: członków komisyi teatralnej, ziewających w swej loży i recenzentów teatralnych. Ale może to i lepiej dla samej sztuki. Artyści czują się swobodniej, nie potrzebując się obawiać, że ten lub ów pan nie zechce lub nie potrafi ocenić ich, jak na to zasługują.

Przyszły historyk teatru polskiego w wojennym czasie będzie miał kiedyś bardzo wdzięczne pole do popisu, jeśli temu właśnie teatrowi poświęci jeden z najobszerniejszych rozdziałów swej pracy.



Wesoła Muza na froncie: „Czarna Mańka“ w obsadzie artystów-amatorów 16. p. p. obrony krajowej

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

13

Energicznym wysiłkiem powstał raz jeszcze i podszedł do kasy, otwierając wszystkie szuflady, wszystkie skrytki. Twarz jego rozgorączkowaną pokryła bladość śmiertelna.

— Niema ich, niema — powtarzał obłędnie. — Boże! Co to się stało! Niema ich tutaj!...

Odwrócił się do mnie i przeraziłem się wyrazem jego oczów... Błędne były, nieprzytomne, straszne. Osłabionym ruchem podniósł ręce do skroni i wyszeptał, jak w śnie gorączkowym:

— Tak, tak, przypominam sobie... Schowałem to gdzieś. Tak, tak, schowałem... Ale gdzie? gdzie? Nie wiem, nic nie wiem... Może w książkach... Jerzy, słuchaj, może w książkach... Ale w których... mój Boże... w których...

Spojrzenia jego niespokojnie biegały po całym pokoju. Widziałem, że biedak, pod wpływem nocnych swoich przywidzeń, tracił teraz przytomność umysłu i pamięć. Wyglądał na człowieka, który tonie a nie ma czego się uchwycić, aby się ratować.

Stał jeszcze przy otwartej kasie i w chwili, kiedy chciał się odwrócić, zachwiał się i byłby runął na ziemię, gdybym go był w ramiona nie pochwycił.

— Gdzież one są? Gdzież je ukryłem? — powtarzał obłędnie. — Przecież tu... tu być powinny!

To wówczas właśnie, w tej samej chwili, panie sędzio, weszła do pokoju dozorczyni, pani Moniche i ujrzała nas, stojących naprzeciw siebie przed rozłożonymi papierami. Musiałem i ja być niespokojny i zmieszany, bo silne wzruszenie ogarnęło mnie i nie pozwoliło słowo wymówić. Na widok jej, Rovere zmarszczył brwi i rzekł gwałtownie:

— Czego pani sobie życzy? Nie trzeba mi nic, proszę odejść i nie wchodzić, aż zadzwonię!

Ale pani Moniche miała czas zobaczyć kasę otwartą i nasze niezwykłe pomieszane twarze. Papiery rozrzucone w szufladach musiała wziąć za papiery wartościowe. Rozumiem, że łatwo mogła się pomylić i oskarżyć mnie następnie. Było pomiędzy mną a Rover'em coś tragicznego, co nie mogło ujść jej uwagi. Kobieta ta przeczuła to i odgadła. Ale to, co nastąpiło po jej wyjściu, było stokroć tragiczniejsze... Zdawało mi się, że mój biedny przyjaciel oszalał. W mózgu jego przemęczonym musiała się odgrywać straszna walka pomiędzy wolą jego i chorobą. Stał ciągle przy kasie, chwiejąc się lekko na nogach i resztką sił umysłowych starał się przypomnieć, wynaleźć ślad kryjówki, gdzie mogły być złożone te nieszczęsne obligacye. Widziałem, jak szalonym wysiłkiem przywoływał gorąco ostatni błysk zwykłej swej energii, opierając się ogarniającej go niemocy i apatyi, która pamięć jego pokrywała zapomnieniem, tocząc wokoło oczy, powiększone przerażeniem i gorączką.

Był to okropny widok, panie sędzio, ta walka przeciw pamięci, która uciekała nagle, zanikała, może na zawsze. Dreszcz zgrozy mnie wstrząsnął od stóp do głowy, dreszcz, którego nie doświadczałem nigdy, nawet wówczas, kiedy, panie sędzio, ogłoszono mi wyrok, oskarżający mnie o morderstwo Rovera — kiedy ten nieszczęsny, szalony człowiek rzucił się jak zwierz dziki na pozostałe papiery, ujął w chude palce i miął je, darł rozpaczliwie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Wkońcu rzucił je ze wściekłością na ziemię, wołając nienaturalnym głosem:

— Ah dekoracye! Tak, dekoracye! Te mi pozostały! Odznaki, nagrody! Zabawki dziecinne, pajace! Do czegoż to mi jest potrzebne? Czy to jej da możność życia? Ah, przeklęte, przeklęte moje życie!

Śmiech jego dziki, szalony, rozlegał się po pokoju. Z siłą, której się nie spodziewałem u niego, deptał, miażdżył walające się po ziemi resztki dekoracyi, lecz w pewnej chwili zachwiał się silnie i wyszeptał:

— Duszę się! Jerzy, ratuj!

Rzuciłem się do niego i pociągnąłem go do kanapy, gdzie go ułożyłem, jak mogłem najwygodniej.

Byłem pewny, że to już koniec jego męki i lęk mnie ogarnął nagły. Byłem sam z nim i odejść nie mogłem, aby pobiedz po ratunek.

Jednakże po chwili odzyskał przytomność. Ale jakże mogłem po takiem zemdleniu i napadzie szału mówić mu jeszcze o córce i o majątku, jaki chciał jej pozostawić? Zresztą, sam o tem nie wspominał i nawet całkiem zapomniał o poprzedniej naszej rozmowie.

Zaczął mówić jakieś dziecińswa, o tem, że wkrótce wyjdziemy razem, tworzył projekta.

— Pojedziemy do lasku bulońskiego — mówił, uśmiechając się — Tam zjemy śniadanie... a potem udamy się do Aten... Wiesz, Jerzy... do Aten... Zawsze pragnąłem być w Grecyi. Tyle już podróżowałem w swojem życiu, ale tego kraju nie zwiedziłem jeszcze...

Majaczył najwidoczniej, jak w pierwszych dniach choroby. Mówiłem sobie: Muszę poczekać, może jutro po dobrze spędzonej nocy odzyska przytomność umysłu i przypomni sobie wszystko. Mam jeszcze kilka dni przed sobą... Mówić z nim dzisiaj o tem, byłoby wielkiem niebezpieczeństwem!

Pomogłem mu zamknąć do kasy porozrzucane po ziemi papiery, w części zniszczone i podarte, czego nie zauważył wcale... Dziwny, tępy uśmiech osiadł mu na twarzy — ruchy jego były sztywne, automatyczne.

Po chwili rzekł cicho:

— Jestem bardzo zmęczony i senny, myślę, że zasnę. Możesz już odejść, ale wróć niedługo.

Pozostawiłem go więc i odszedłem. Wyciągnął się wygodnie na kanapie, a kiedy, przed odejściem jeszcze, okrywałem go szalem, wyszeptał:

— Ach, spać, spać — to tak dobrze módz usnąć!

Na razie nic mu nie groziło. Mówiłem sobie, powrócę jutro. Jutro próbował będę obudzić znowu ten umysł przyćmiony i wskrzesić drzemiącą wolę. Jutro pamięć mu wróci i wtedy przypomni sobie może, gdzie, w której książce ukrył obligacye, cały majątek jego córki. Jutro! Jest to słowo, które się tak często wymawia lekkomyślnie, a którem się nie powinno posługiwać, kiedy chodzi o rzeczy ważne!

Nazajutrz, panie sędzio, miałem ujrzeć mojego przyjaciela bez życia, zamordowanego niecnie, leżącego z gardłem rozciętem! Zamordowany! Ale przez kogo? Człowiek, którego obecnie osadziliście w więzieniu, podróżował wiele i zdaleka przybywa. Rovere był konsulem w Buenos Ayres. Przypominam panu sędziemu słowa mojego przyjaciela, wyrzeczone w dniu ostatniego naszego spotkania:

— Spotkałem tylu nędzników na świecie. — Oto cała prawda, panie sędzio! Powinienem był, przyznaję, wyjawić ją panu wcześniej. Ale teraz pan zrozumie, że nie łatwo mi było zdradzić tajemnicę, zawierzoną mi pod przysięgą. Musiałem wydać opinii publicznej nazwisko kobiety i człowieka, który nie był w niczem winien temu nieszczęściu i wyjawić to, co Rovere tak długo i tak starannie ukrywał. A zresztą, tak, jak już mówiłem panu sędziemu, zdawało mi się, że ta prawda powinna była sama ze siebie wystąpić na jaw. Kiedy zostałem zaaresztowany, przez pewien rodzaj szalonej brawury chciałem czekać na sprzyjające mi okoliczności, na los ślepy, który zniweczyć mógł w jednej chwili wszystkie oskarżenia na mnie nagromadzone. I zapaliłem się do tej gry. Chciałem śmiało stawić czoło i oskarżeniom pana, panie sędzio i losowi, który w jakiś dziwny sposób zadrwił sobie ze mnie. Ani na chwilę nie przypuszczałem, że ta okrutna pomyłka mogła trwać długo. I liczyłem na swoje szczęście, na wygraną! Przecież tylko zależało odemnie zakończyć jednem słowem tę smutną komedię, ale, jak powiadam, wahałem się i dobrowolnie znosiłem ciężar tego upornego wahania, bo słowem tem było nazwisko kobiety!...

— Nie zapytałem pana dotąd o to nazwisko — odparł Ginory — chociaż, jako sędzia, mam prawo do tego.

— Nie chciałem go wydać urzędnikowi policyi — rzekł Jerzy Montin — ale człowiekowi uczciwemu zawierzę je z całem zaufaniem.

— Niestety, jestem tutaj tylko urzędnikiem — odpowiedział pan Ginory. — Ale wiedz pan, że i tutaj posiadamy tajemnice, nieznane nikomu, tak, jak się to zdarza w życiu prywatnem.

I wtedy Jerzy Montin wymienił nazwisko, które nosiła przed prawem i ludźmi, ta, którą Piotr Rovere nazywał córką swoją.

XV.

Dla pana Ginory'ego, pana Leriche i Bernardeta od tej rozmowy sprawa morderstwa, popełnionego na panu Rovere, zupełnie wyjaśnioną została. Nie było już żadnych wątpliwości. Prawdziwym mordercą był Karol Prades.

Paweł Rodier, zapalony w swoim zawodzie reporter, dowiedział się pierwszy o aresztowaniu młodego człowieka i, porzucając artykuły o „Damie w czarni", przerzucił się natychmiast na sensacyjny artykuł, w którym donosił o wielkiej zmianie w śledztwie i z bujnej swojej wyobraźni wycisnął wiele nieprawdopodobnych szczegółów z życia nowego oskarżonego, Ludwika Pradesa. Nazwał go przedewszystkiem Carlosem Ludovicem Pradesem i przedstawił go swoim czytelnikom jako poskramiacza dzikich zwierząt, cowboy'a, władającego z równą zręcznością amerykańskim rewolwerem jak meksykańskiem „lasso" przeciw wrogom swoim Anglikom. Paweł Rodier koloryzował z namiętnością malarza opowiadanie swoje. Według jego przekonania Carlos Prades, przebywający niegdyś w Buenos Ayres, żywił śmiertelną nienawiść do byłego konsula, za jakiś czyn jeszcze niezbadany i tem tłumaczył popełnioną zbrodnię. Nie był to zwykły rzezimieszek, chciwy pieniędzy, który jej dokonał, ale oszalały mściciel, wymierzający sam sobie dawną upragnioną sprawiedliwość. W jednym znów z artykułów swoich pomysłowy reporter zapuszczał się w niejasne i tajemnicze przyczyny. Carlos Prades był znowu narzędziem jakiegoś stowarzyszenia mścicieli, być może nawet zagorzałych anarchistów. To znowu wspominał dyskretnie o jakiejś rywalizacyi w miłosnej dramatycznej sprawie, której republika argentyńska była niegdyś widownią.

Jednem słowem, potrafił zręcznem swojem piórem wywołać zainteresowanie publiczności i postawić młodego człowieka, prowadzonego przed kilkoma dniami do aresztu przez Bernardeta, w zajmującem oświetleniu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, reporter intuicyjnie odgadł jedną część prawdy.

Piotr Rovere był ofiarą swojej przeszłości. I ta przeszłość właśnie uzbroiła rękę zbrodniarza, z którym się spotkał oko w oko w mieszkaniu swojem przy bulwarze Clichy.

Przed latami jeszcze, w Buenos Ayres, były konsul przystąpił był do wielkiego przedsiębiorstwa rolnego i stał się wspólnikiem człowieka, którego gry hazardowne i przeróżmaite spekulacye zrujnowały doszczętnie. Człowiek ten, umierając, pozostawił dwoje dzieci. Młodą dziewczynę, którą nawet Rovere przez czas jakiś miał zamiar poślubić i młodszego od niej — syna. Dwiema temi biednemi istotami, które pozostały po likwidacyi majątku ojca bez możności do życia, zaopiekował się Rovere. Jan Prades, przed popełnieniem samobójstwa, gdyż innego wyjścia dla siebie nie widział, oddał dzieci swoje pod jego opiekę.

Carlotta, obdarzona niezwykłą urodą, byłaby wkrótce została żoną byłego konsula, lecz śmierć przedwczesna zabrała ją, pozostawiając w duszy Rovera niewygasłe dla niej serdeczne wspomnienie. Wspomnienie to często w następnych latach nawiedzało go, kiedy, siedząc w mieszkaniu swojem przy bulwarze Clichy, zagłębiał się coraz więcej w rozmyślaniach swoich samotnych, zdaleka od ludzkiego gwaru i ciekawości krewnych.

— Może ta umarła byłaby mi dała to szczęście, którego szukałem przy matce Marty — myślał często Rovere, wspominając lata minione. — Przynajmniej dziecko jej nosiłoby teraz moje nazwisko i miałbym je przy sobie.

I smutek tego rozczarowania i żal za tem jasnem widzeniem, tak wcześnie rozwianem, mieszało się z goryczą miłości niedozwolonej i zatruwało dalsze dni jego życia.

Chcąc znaleźć jakąś pociechę w swej boleści, Rovere przelał na brata Carlotty serdeczne uczucie, jakie miał dla niej. Pozatem chciał zadośćuczynić ostatniej prośbie zmarłego.

Syn Jana Pradesa był naturą gwałtowną, żądną życia. Przyjmował dobrodziejstwa swojego opiekuna, jak rzecz, należną sobie. Te dwa nieszczęśliwe widma, zjawiające się w wspomnieniu Rovera, ojciec z roztrzaskaną głową od kuli rewolweru i siostra, umierająca w pierwszych latach młodości, zapewniały młodemu Karolowi życzliwość i współczucie Rovera.

— Był wspólnikiem mojego ojca i narzeczonym siostry — pocieszał się. — Mogę z tego ciągnąć ładne korzyści. Daj Boże, ażeby wszyscy mieli podobnych opiekunów!

Ale pomału, ciągłe żądania Pradesa, który twierdził, że ma prawo do dzielenia się kasą z wspólpracownikiem jego ojca, zaczęły drażnić Rovera. Młody Prades nie prosił już, lecz wyraźnie i to w tonie nie zawsze odpowiednim stawiał swoje wymagania. Rovere stał się wkrótce dla tego lekkomyślnego człowieka i zapalonego gracza żyjącą maszyną do regulowania jego długów, wzrastających z dniem każdym.

Jednego dnia jednak Rovere, doprowadzony do ostateczności zuchwalstwem swojego pupila, oznajmił mu kategorycznie, że więcej już na jego pomoc liczyć nie może.

Było to w Buenos-Ayres, przed samym powrotem konsula do Francyi. Rovere załagodził to swoje stanowcze postanowienie ostatniem dobrodziejstwem. Wręczył młodemu Pradesowi dosyć znaczną sumę, dzięki której mógł czas jakiś żyć spokojnie, czekając na dalszy los szczęścia i pożegnał się z nim obojętnie.

Prades był wściekły, że w ten sposób zakończyły się ich stosunki i po wyjeździe Rovera wiódł życie jeszcze bardziej lekkomyślne i awanturnicze. Reporter Rodier nie mylił się wcale, opowiadając nieprawdopodobne historye w tym kierunku. Czas mijał, a pieniądze, pozostawione przez Rovera, stopniały w nerwowych rękach Pradesa z przerażającą szybkością. Przyszła wkońcu chwila, kiedy pozostał bez żadnych środków do życia, spróbowawszy szczęścia w różnych ekscentrycznych zajęciach i przedsiębiorstwach. Przekonał się w tym czasie, że najlepszą kopalnią złota będzie dla niego kasa byłego konsula i postanowił jak najprędzej udać się do niego.

Wyruszył więc do Francyi. Wiedział, że „szwagier“, bo tak nazywał Rovera, mieszkał w Paryżu, z łatwością więc mógł go odnaleźć. Karol Prades był człowiekiem bez żadnych skrupułów i etyki. Ile razy wspominał swojego złotodajnego „szwagra“, brzydki uśmiech pojawiał się na jego twarzy. Bo wkońcu — rozumował — czemże jest ten mój „szwagier“ niedoszły? Człowiekiem, goniącym za wrażeniami, a Carlotta była tak ładna! Powinien teraz czuć wdzięczność dozgonną dla jej brata.

Kiedy Prades stanął w Paryżu, wynalazł sobie mały pokoik w nędznym, podejrzanym hoteliku, gdyż fundusze nie pozwalały mu na wytworniejsze mieszkanie i zaraz udał się za poszukiwaniem adresu Rovera.

Widok Pradesa sprawił na Roverze niemiłe wrażenie i wywołał gniew.

Kiedy Prades po raz pierwszy zapytał w domu przy bulwarze Clichy o byłego konsula, pani Moniche, do której się zwrócił po informacye, spojrzała zdziwiona na egzotyczną jego postać, ale pozwoliła mu bez przeszkody udać się na górę. I kto wie, może podejrzenie pani Moniche byłoby padło na tego nieznajomego, gdyby nie była widziała Jerzego Montin, stojącego przed kasą otwartą pana Rovere.

Zresztą Prades trzykrotnie tylko pojawił się w mieszkaniu Rovera, a w dzień zbrodni wślizgnął się niepostrzeżenie do kamienicy, upatrzywszy chwilę, w której pani Moniche zajęta była czyszczeniem schodów na górnych piętrach, a pan Moniche wyszedł na szklankę wina naprzeciw.

Zadzwonił śmiało do mieszkania i Rovere, osłabiony i chory, wlokąc nogami z trudem, przyszedł mu drzwi otworzyć. Na widok Pradesa cofnął się i rzekł niechętnie:

— Sądziłem, że już wyjechałeś z Paryża po ostatniej naszej rozmowie. Czego chcesz? Nie mam ci nic więcej do powiedzenia ponad to, co ci już mówiłem.

Wiedząc, że Prades znowu męczyć go zacznie zuchwałemi swojemi wymaganiami, tak, jak to zawsze czynił, Rovere, zdenerwowany i niezadowolony, chciał drzwi zamknąć mu przed nosem, ale Prades popchnął je silnie i wszedł, mówiąc błagalnym i równocześnie ironicznym głosem:

— Pomówimy po raz ostatni! Przysięgam panu, że mnie więcej nie ujrzysz u siebie. Ale wysłuchać mnie pan musi. Wyjadę dziś jeszcze.

Wówczas Rovere pozwolił mu wejść do salonu i pomimo wielkiego osłabienia i braku sił, chciał już raz na zawsze zakończyć z tym człowiekiem, napastującym go tak zuchwale i upornie.

— Muszę się go pozbyć w ten sposób — pomyślał Rovere — aby mu odebrać na zawsze ochotę do powrotu.

— Czy nie pozwolisz mi umrzeć w spokoju? — rzekł z wyrzutem do młodego człowieka. — Czegóż żądasz jeszcze odemnie? Uczyniłem dla ciebie więcej, niż było moim obowiązkiem. Nie masz prawa wymagać nic więcej odemnie.

Prades usiadł swobodnie na fotelu i położył duży swój amerykański kapelusz na kolanach. Nie czuł się zupełnie zmieszanym słowami Rovera, przeciwnie, głos jego brzmiał zuchwale i wyzywająco, kiedy odezwał się, uśmiechając się przytem ironicznie:

— Kochany panie Rovere! O co to się gniewać? Przychodzę do pana po raz ostatni, z prośbą o wyratowanie mnie z sytuacyi, w której się znajduję. Przekonałem się, że z dwojga złego lepszą już dla mnie jest Ameryka. A czy zechcę tam powrócić, czy tu stworzyć sobie egzystencyę, potrzeba mi do tego pieniędzy. Przecież pan powinien to zrozumieć!

— Dawałem ich już dosyć — odparł zimno Rovere. — Mam już tego dosyć. Znudziły mnie ciągłe bezwstydne wymagania pana.

— Czy to pan mówi naprawdę? — zapytał Prades ze złym uśmiechem. — Sądziłem, że powinien pan mieć więcej względów dla człowieka, z którym łączą pana pewne wspomnienia... Pan zapomina, że jestem bratem Carlotty?

— Ani słowa o niej — przerwał ostro Rovere. — Zabraniam panu mieszać jej imię do tych niecnych targów!

— Cenię to uczucie pana — wyrzekł ironicznie Prades — ale przyznać pan musi, że długi czas radziłem sobie, jak mogłem, aby pana pozostawić w spokoju. Ale, mój kochany panie Rovere, czy nie wie pan, że wilk wychodzi ze swojej nory, kiedy głód mu dokuczy? Nie mam pieniędzy i dlatego przychodzę!

Rovere czuł się tak bezwładnym w tej chwili i tak słabym, że byłby dał cały swój majątek, aby się pozbyć natręta i wypocząć, ale jakiś instynkt samozachowawczy i błysk energii kazał mu walczyć przeciw bezwstydnym wymaganiom Pradesa. Uniósł się wysiłkiem woli z kanapy i oczy jego rozgorzały stłumionym gniewem.

— Nie otrzyma pan nic już więcej odemnie — wyrzekł stanowczym głosem. — Dosyć już. Żądania pana są śmieszne! To jest ostatnie moje słowo. Nie dam nic więcej!

— Jest pan niewdzięcznym człowiekiem, panie Rovere — odparł Prades. — Zapomina pan o zobowiązaniach przeszłości! Carlotta i mój ojciec, umierając, polecili mnie opiece pana. Jakże prędko pan o tem zapomniał!

— Zabroniłem panu wywoływać te wspomnienia — zawołał gniewnie Rovere. — Słowa pana są obelgą dla tej niewinnej istoty, która mi o tyle drogą była, o ile pan wstrętnym! Znosiłem już wiele przez pamięć dla niej, ale teraz cierpliwość moja wyczerpała się już!

— Wspomnienie to jednak — odparł cynicznie Prades — dla pana przykre, dla mnie stało się cennym spadkiem! Mój kochany szwagrze i konsulu, zechciej pamiętać o tem, że wkłada ono na ciebie ważne obowiązki. Nie odejdę stąd, póki nie uczynisz zadość mojemu żądaniu.

Rovere był tak zdenerwowany, że chciał zadzwonić, wołać, aby natręta wyrzucono za drzwi. Ale nagła myśl wstrzymała go od tego zamiaru. Cóżby pomyśleć mogła pani Moniche i jej mąż? Potworzyłyby się domysły, gorsze jeszcze od prawdy! I ten człowiek energiczny i nieznający lęku, drżał teraz, osłabiony chorobą, przed możliwym skandalem! Po krótkim namyśle powstał z fotelu i tłumacząc się nagłem osłabieniem, chciał sam poprowadzić Pradesa do drzwi i zmusić go do wyjścia. Lecz młody człowiek za pierwszem dotknięciem ręki Rovera skoczył w bok, dziko błyskając oczami, gotów do walki i oporu.

I rozpoczęła się rzeczywiście cicha i straszna walka pomiędzy tymi dwoma ludźmi. Rovere, licząc jeszcze na dawne swoje siły, pochwycił napastnika za kołnierz ubrania, lecz tenże pochwycił szybko jego rękę, szukając równocześnie broni, ukrytej w kieszeni. Był to ten sam długi i wązki nóż, znaleziony przez Bernardeta w czasie badania. Chwila była tragiczna.

Prades brutalnie odepchnął od siebie Rovera, który, chwiejąc się, potykając o meble, tracił już przytomność umysłu. Przekonawszy się, że przeciwnik nie może być dla niego niebezpieczny, Prades odstąpił parę kroków w tył i nagle rzucił się naprzód, pochwycił nieszczęśliwego Rovera za ramię i potrząsając nad nim nożem, wołał ochrypłym od wściekłości głosem:

— Nie unikniesz już mojej ręki! Sam tego chciałeś! — W tej to chwili Rovere, broniąc się rozpaczliwie, drżącemi rękami uchwycił się szyi Pradesa, krwawiąc ją głębokimi śladami paznogci.

W rozszalałych oczach Pradesa, paliła się tylko teraz myśl jedna: „Zabić, zabić go!“ Przyszedł prosić, żądać, grozić nawet, ale teraz zabić go musi, by zadowolnić zuchwałe swoje pragnienie i chęć zemsty. Wszystkie najgorsze instynkta wobec odmowy Rovera rozszalały się w nim w jednej chwili. Nie był to już człowiek, rozumujący na zimno, ale rozbestwione i podrażnione zwierzę, gotowe na wszystko! Zapomniał, gdzie się znajduje. Nie słyszał głosów ani turkotów, dobiegających z ulicy, nie zdawał sobie sprawy, że krzyk ofiary wydać go może! Cała siła i energia jego życia skoncentrowała się w tej oślepiającej go wściekłości i nagle ręka jego, uzbrojona w broń śmiertelną, opadła ciężko na szyję Rovera... Krew bryzgnęła strumieniem, Rovere zachwiał się, przerażone spojrzenie utkwił w mordercy i upadł na ziemię...

Na twarzy trupio bladej nie widniała już żadna oznaka życia, tylko oczy, przerażeniem rozszerzone, gorzały niezwykłem światłem. W tej chwili oczy te, przejęte grozą śmiertelną, szukały rozpaczliwie jakiegoś punktu oparcia, ratunku, wołały o ten ratunek nadludzkim wysiłkiem, podczas, gdy z szyi, gdzie czerniła się szeroka, otwarta rana, krew strugami spływała na dywan.

I nagle Prades ujrzał, jak Rovere ostatnim wysiłkiem woli i sił powstał z ziemi i chwiejąc się jak człowiek pijany, przyczołgał się do kominka, na którym wsparł się całym ciężarem ciała. Konwulsyjnie wykrzywione jego palce pochwyciły przedmiot, na który morderca przedtem nie zwrócił uwagi i błędne spojrzenie w niego utkwił, podczas kiedy usta usiłowały wymówić jakieś niezrozumiałe wyrazy. Dźwięki jakieś błagalne, rozpaczne, wydobywały się z krwawiącej krtani, z której życie uciekało z każdą sekundą.

Przedmiotem, w którym utkwiły gorące, błagające spojrzenia umierającego, był portret mężczyzny... Do niego to odnosiła się ostatnia prośba, ostatnie słowa skargi i oskarżenia.

Prades ze zdumieniem i przestrachem śledził ruchy swojej ofiary. Ujrzał, iż rama portretu wysadzana była drogocennymi kamieniami i perłami. Przekonał się później dopiero, że były to ciekawe okazy minerałów, które zapewne Rovere przywiózł ze swoich podróży. W spojrzeniu Rovera Prades dojrzał teraz jakiś rozkaz z szeptanych bezładnie słów, zrozumiał, że przekazywał człowiekowi z portretu jakieś zlecenie ważne do spełnienia. Cała energia żywotna nieszczęśliwego i nieziemska już siła duszy przebijała się w oczach, rozjaśnionych teraz blaskiem głębokim.

I zdawało się Pradesowi nagle, że pomiędzy nim a ofiarą jego stanął niespodziewanie świadek jakiś. Uczucie to i chciwość, wywołana widokiem drogocennej ramy, popchnęła go raz jeszcze w kierunku Rovera. Brutalnym ruchem chciał wyrwać portret z rąk jego, ale siła jakaś nadzwyczajna, przed którą na chwilę cofnął się morderca, powróciła umierającemu. Ręce jego, już sztywniejące w ostatnim skurczu śmierci, zacieśniły się rozpaczliwie wokoło ram, płomienne spojrzenia, jak parząca błyskawica, nie schodziły z twarzy mężczyzny, przedstawionego na portrecie... Po chwili Rovere drgnął całem ciałem i bezwładnie osunął się na podłogę... Prades, niespokojny i niepewny, zbliżył się wówczas do niego i sięgnął raz jeszcze po portret. Z wielką trudnością mógł go wydobyć z martwych, sztywniejących coraz więcej palców... Przekonał się wówczas, że Rovere już nie żył i westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi. Uradowany, porwał portret. Rama wydała mu się nadzwyczajnej wartości. Olbrzymie kamienie rzucały blask olśniewający. Rozejrzał się następnie po pokoju i zabrał kilka cenniejszych przedmiotów, kierując się następnie do pokoju, w którym stała kasa. Ale na progu zatrzymał go szmer jakiś, dochodzący od schodów. Ktoś nadchodził! Prades zdrętwiał z przerażenia... Ktoś nadchodził, a ktokolwiekby to był, przynosił za sobą niebezpieczeństwo... Świadek ten niespodziewany odkryje jego morderstwo i wówczas zostanie bezzwłocznie ujęty! Prades znalazł się w przykrem położeniu. Nie wiedział, co wybrać, czy ucieczkę, czy też ukrycie się tymczasowe w mieszkaniu, skąd niebardzo w tej chwili oddalać mu się chciało. Przecież nie po to tu przyszedł, aby odejść z próżnemi rękami! Nie miał czasu do stracenia na wahanie. Ukrył się szybko za drzwi salonu i w chwili, kiedy pani Moniche wchodziła i była tyłem do niego zwrócona, prześlizgnął się ostrożnie do przedpokoju. Tutaj zorventował się, że ukrywać się dalej byłoby wielkiem niebezpieczeństwem. Ujął więc cicho za klamkę i otworzył drzwi, prowadzące na schody. Równocześnie rozległ się okrzyk przerażenia pani Moniche. Odkryła zwłoki pana Rovere, leżące na dywanie i zanim odzyskała przytomność umysłu i zbiegła na dół, wołając o ratunek, Prades był już daleko!... Spokojnym, powolnym krokiem wmieszał się w tłum przechodniów, zalegających bulwary, przystając niekiedy przed wystawami sklepów i odczytując uważnie afisze.

XVI.

Szczegółów tych wszystkich dowiedział się pan Ginory od samego mordercy, przy powtórnem badaniu. Z początku wypierał się, bronił, wahał z odpowiedziami, wkońcu, nie mogąc już oprzeć się zręcznym naleganiom sędziego, z gorączkowym wybuchem wypowiedział całą prawdę. Pan Ginory był dumnym z odniesionego zwycięstwa, musiał bowiem użyć wielu sposobów i sztuczek, aby mordercę pokonać i doprowadzić do zupełnego wyznania.

— Głupio się urządziłem — mruknął Prades po odbytej spowiedzi. — Po co zachowałem ten portret? Przez niego zostałem wykryty. Myślałem, że ramy posiadają znaczną wartość, a tymczasem sprzedałem je za pięć franków!

— Gdzie ta rama została sprzedana? — zapytał sędzia.

— Na bulwarze św. Michała, u kupca Donnier.

Dokończenie nastąpi.

Z tygodnia.

Orędzie Wilsona o pokoju i niepodległej Polsce.

Prezydent Stanów Zjednoczonych, Wilson, wystosował do Senatu orędzie, które treścią swą i stanowczością wywołało w całym świecie ogromne wrażenie i stało się najdonioślejszem wydarzeniem chwili obecnej.

Wilson wskazuje w tem orędziu na noty, zamienione między nim i państwami wojującemi w sprawie pokoju i stwierdza, że zbliżono się do ostatecznej dyskusyi pokojowej, jakoteż do dyskusyi nad międzynarodowym koncertem, który rzeczywiście uniemożliwi, aby na świat kiedykolwiek spadła znowu katastrofa, podobna do dzisiejszej. Amerykański naród został powołany do wzięcia udziału w wielkiem przedsięwzięciu założenia na nowo i według nowego planu fundamentów pokoju między narodami. Naród amerykański nie pragnie uchylić się od tej służby, polegającej na tem, aby swą powagę i swą siłę dodać do powagi i siły innych narodów, dla zapewnienia całemu światu pokoju i prawa. Takiego uregulowania nie można obecnie długo odwlekać.

Następnie prezydent przytacza warunki, pod którymi rząd amerykański uważa się za uprawnionego żądać od narodu amerykańskiego zgody na formalne i uroczyste przystąpienie do ligi pokojowej. Najpierw obecna wojna musi być zakończoną. Same tylko umowy nie mogą zabezpieczyć pokoju. Będzie bezwarunkowo koniecznem stworzenie siły, która będzie w stanie dawać gwarancyę trwałości układów. Jeżeli pokój ma być trwały, to musi to być pokój, zapewniony przez zorganizowaną większą siłę ludzkości. Nie równowaga, lecz wspólność siły jest konieczną, nie zorganizowane współzawodnictwo, lecz zorganizowany wspólny pokój.

Oświadczenia obu grup narodów, wiodących wojnę, stwierdzają w sposób, nie dający się mylnie rozumieć, że nie jest ich zamiarem zniszczenie ich przeciwników. Jest tam przedewszystkiem określone, że musi być pokój bez zwycięstwa. Tylko pokój wśród równych może mieć trwałość, tylko pokój, którego zasadą jest równość i wspólne uczestniczenie we wspólnych korzyściach. Równość narodów w pokoju, jeżeli on ma być trwały i ma być uzasadniony, musi być równością praw, bez różnicy między narodami wielkiemi i małymi, między potężnymi i słabymi. Pokój musiałby także uznać zasadę, że rządy całą swą słuszną władzę uzależniają od zgody rządzonych.

Prezydent naprzykład uważa za rzecz załatwioną już, że mężowie stanu wszędzie są w tem zgodni, iż powinna istnieć zjednoczona, niepodzielna i niezawisła Polska, oraz dalej, że powinno być zapewnione nienaruszalne bezpieczeństwo życia, religii, wyznań i indywidualnego socyalnego rozwoju wszystkich narodów.

Wolność mórz jest dla pokoju „conditio sine qua non“, równość, współpraca i nieprzerwana swobodna, niezagrożona komunikacya między narodami jest zasadniczą częścią pokoju i procesu rozwojowego.

Kwestya ograniczenia zbrojeń na lądzie i na morzu musiałaby być rozwiązaną w duchu rzeczywistych ustępstw, jeżeli nowy pokój ma przynieść poprawę i ma być trwały. Bez ofiar i koncesyi pokój nie jest możliwy. Kwestya zbrojeń jest ową kwestyą, która z przyszłymi losami narodów i ludzkości jest najbardziej bezpośrednio i najbardziej decydująco związaną.

Wreszcie prezydent przedkłada:

Każdemu narodowi, wielkiemu, czy małemu, ma przysługiwać swoboda oznaczenia sobie samemu swych form rządu i swego toku rozwojowego — bez przeszkody i bez zastrzeżeń. Wszystkie narody mogą w przyszłości zaniechać wiązania się w sojusze, które wpędzają je do rywalizacyi o władzę i pętają je w intrygi i w rywalizacye dla własnej korzyści.

Wreszcie prezydent proponuje rządowi za zgodą rządzonych, wolność mórz i ograniczenie zbrojeń, które z wojsk i floty uczyni wyłącznie narzędzie porządku, a nie narzędzie ataków, albo chciwej przemocy.

To są amerykańskie zasady — powiada wkońcu orędzie Wilsona — za innemi nie moglibyśmy obstawać.

Treść swego orędzia Wilson uzupełnił następującym komentarzem:

„Wypowiedziałem się o tych wielkich rzeczach bezwzględnie i z największą dobitnością, ponieważ takie właśnie postąpienie wydało mi się potrzebnem, jeżeli gorące pragnienie pokoju miało gdziekolwiek znaleźć swój pełny wyraz. Jestem, zdaje się, jedynym człowiekiem na wysokiem, odpowiedzialnem stanowisku, który może się swobodnie wypowiedzieć i niczego przemilczeć nie potrzebuje. Mówię, jako człowiek prywatny, ale zarazem jako odpowiedzialny naczelnik wielkiego rządu. Jestem też przekonany, że naród amerykański oczekiwał odemnie tego właśnie, co powiedziałem. Dodam jeszcze, że, jak sądzę i silnie wierzę, przemówiłem w imieniu wszystkich przyjaciół ludzkości i w imieniu każdego wolnościowego programu w każdym narodzie. Jestem też przekonany, że mówiłem w imieniu całej niemej masy ludzkiej, która nie znalazła jeszcze miejsca, ani sposobności, aby wypowiedzieć swoje rzeczywiste uczucia wobec wzajemnych rzezi i ruiny, jakich ofiarami padają sercom ich najdrożsi ludzie i miejsca.“

Polacy amerykańscy o niepodległej Polsce.

Telegraficzne Biuro Wolfa donosi z Nowego Jorku:

„Komitet Narodowy Polski urządził zgromadzenie z okazyi uroczystości przywrócenia niezawisłego Królestwa Polskiego. W zgromadzeniu wzięło udział przeszło 3000 Polaków amerykańskich, mężczyzn i kobiet. Zgromadzeni przyjęli rezolucyę, wyrażającą uznanie niezawisłości Polski przez mocarstwa centralne po ich zwycięstwie nad Rosyą, jako pierwszy decydujący krok w kierunku ostatecznego rozwiązania kwestyi polskiej. Rezolucya uznaje znaczenie i ważność pamiętnego aktu mocarstw centralnych z dnia 5. listopada 1916 roku i wyraża przekonanie, że samodzielne państwo polskie będzie kamieniem węgielnym pod trwały pokój europejski. Dalej rezolucya protestuje przeciw temu, że w nocie sojuszników z dnia 10. stycznia jest mowa o tem, iż Polska ma być oddaną Rosyi, a jej przyszłość zawisłą od humoru tego samego cara, który przed kilku laty pokrył Polskę szubienicami i wygnał dziesiątki tysięcy ludzi na Sybir. Polska musi być wolną i niezawisłą, nie poddaną żadnemu innemu rządowi, jak tylko własnemu, musi ona być panem swego własnego losu.

Zgromadzenie wystosowało do Wilsona prośbę, by zgodnie z tradycyą Ameryki podjął natychmiast kroki w kierunku uznania Królestwa Polskiego przez Stany Zjednoczone.“

Rosya wobec aktu 5. Listopada.

Jak donosi Petersburska Ajencya telegraficzna, „prezes polskiego Komitetu Narodowego, hr. Wielopolski, zapewnił dziennikarzy, że Komitet Narodowy polecił mu wyrazić wdzięczność za nowe potwierdzenie stworzenia państwa polskiego, które zostało wyrażone w rozkazie dziennym cara do armii i floty.“ Hr. Wielopolski między innemi miał się wyrazić: „Misya, którą mi powierzono, nie zna ograniczeń w uczuciach wdzięczności. Uważam za swój obowiązek wyjaśnić kilka punktów słów cesarskich. Jestem upoważniony do oświadczenia, że Polska ma być złączona i wolna, to znaczy, że otrzyma niezawisłą formę państwowa, z prawodawczą Izbą i własną armią.“

W sprawie tej *„Dziennik Polski“* donosi: „Dnia 5. stycznia miał szczęście przedstawić się Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu członek z wyboru Rady państwa, w godności koniuszego dworu, Zygmunt hr. Wielopolski. Z pierwszorzędnego, najlepiej powiadomionego źródła upoważnieni jesteśmy do stwierdzenia: Słowa rozkazu najwyższego do armii i floty z dnia 25 grudnia o wolnej Polsce z trzech jej części, rozumiane są w ten sposób, że zjednoczona Polska otrzyma odrębny własny ustrój państwowy, z własnemi Izbami prawodawczemi i własną armią.“

Petersburski *„Kuryer Nowy“* zamieszcza z tego powodu następujące uwagi:

„Ponieważ nie jesteśmy nigdy „upoważniani“ i nie żywimy zbytniego optymizmu co do nadziei, żywionych przez „pierwszorzędne źródła“, które tylekroć były informowane bynajmniej nie „najlepiej“, całkowicie na odpowiedzialność „Dziennika“ powtarzamy tę wiadomość. Zastrzegając się przed zbytnim częstokroć optymizmem „źródeł“, dodać musimy, iż wiadomość tym razem wydaje się wiarygodną. Sytuacya jest taką, iż tylko w tej formie, jaką przewiduje komentarz „Dziennika“, sprawa polska otwiera jakie takie perspektywy wyjścia z niej. Upierać się przy błogiej nadziei i koncepcyach Stuermerowskich, wbrew oczywistości, niepodobna. Być może, iż ta ostatnia, choć nie ostateczna, faza sprawy polskiej już następuje. Nareszcie zatem, jawnie i bez ogródek sprawa polska stanęłaby przed forum międzynarodowem w kształcie państwowości, jako dążenie do odbudowy państwowej, ogólnie już i powszechnie znanej“.

Korespondencya z rodakami w Rosyi.

Komitet Polski w Stockholmie nadsyła nam następujący komunikat:

„Wobec częstych zapytań co do sposobów i warunków korespondencyi z Polakami w Rosyi i za granicą, podajemy do wiadomości wszystkich zainteresowanych, że Komitet nasz, ma, jak dotychczas, zupełną swobodę w przesyłaniu wszelkiej korespondencyi zwykłą drogą pocztową tak do Rosyi, jak i do wszystkich innych państw Europy i Ameryki. Listy mogą być pisane po polsku, bez ograniczenia co do długości tekstu, ze względu jednakże na przeciążenie pracą we wszystkich cenzurach, wskazanem jest komunikowanie sobie jedynie najważniejszych wiadomości.

W każdym liście wymienić należy dokładny adres wysyłającego i odbiorcy, tak, aby nie było żadnej wątpliwości, dokąd list należy wysłać. Biuro nasze bowiem, wobec ogromnej ilości nadsyłanej nam korespondencyi, nie jest w możności prowadzenia list adresowych wszystkich swych korespondentów i notuje adresy tylko w wypadkach wyjątkowych, gdy zachodzi tego potrzeba, lub gdy ktoś o to specyalnie prosi.

Na porto prosimy załączać po dwa kupony międzynarodowe od listu. W razie niemożności otrzymania kuponów, prosimy nie o przesłanie nam, jak dotychczas, marek pocztowych, których zamiana na gotówkę nastręcza nam wielkie trudności, lecz o załączenie wprost drobnych pieniędzy papierowych na jednę koronę od listu. W liście należy wyraźnie zaznaczyć, jaką kwotę się przesyła, i że przeznaczona jest ona nę opłacenie porta. Wyjaśniamy przytem, że za jedna koronę austryacką otrzymuje się obecnie 34 öre i że suma ta pokrywa zaledwie opłaty pocztowe.

Do Bukowiny i części Galicyi wschodniej, będących pod okupacyą rosyjską, Komitet nasz wysyła wszelką korespondencyę zwykłą drogą przez Rosyę, jednakże wobec tego, że komunikacya pocztowa w tej części kraju jest niezupełnie uregulowana i wogóle niepewna, nie możemy brać na siebie żadnej odpowiedzialności, czy wszystkie listy dochodzą rąk adresatów, oraz czy i kiedy nadejdą odpowiedzi.

Komitet zajmuje się również wyszukiwaniem jeńców Polaków w Rosyi. Należy zawsze podać imię i nazwisko, oraz pułk i kompanię, w której jeniec służył.

Wszelkie przesyłki pieniężne, tak do osób prywatnych za granicą, jak też w szczególności do jeńców w Rosyi, uskutecznia Komitet bez żadnych trudności i może zapewnić, że wszystkie przesyłki dochodzą rąk adresatów, lub w razie niemożności doręczenia są zwracane Komitetowi.

Do okupacyi rosyjskiej w Galicyi i Bukowinie pieniędzy ani telegramów przesłać nie można.

Komitet nasz otrzymuje nieraz reklamacye, że listy nie dochodzą. Otóż przy tej sposobności pragniemy stwierdzić wyraźnie, że wszelką nadesłaną nam korespondencyę wysyłamy niezwłocznie dalej, że właśnie pośrednictwo w przesyłce korespondencyi uważamy za bardzo ważny dział naszej pracy, który prowadzimy z szczególną troskliwością. Listy w biurze naszem ani nie zalegają, ani w żadnym wypadku nie giną, jeśli zaś czasami nie dochodzą do rąk adresatów, to winy szukać należy w utrudnionych warunkach komunikacyjnych doby dzisiejszej, lub być może, w innych jeszcze czynnikach nam bliżej nieznanych.

Adres Komitetu Polskiego pozostaje bez zmiany: Stockholm, Wallingatan 25.“

Kronika tygodniowa.

Zdawało mi się, gdym kończył poprzednią kronikę, iż w kwestyi szkolnej wyczerpałem zupełnie materyał i wynalazłem niezawodny środek na usunięcie niedomagań w naszych gimnazyach. Pokazało się przecież, że tak nie jest. Sposób mych rad nie jest bynajmniej skuteczny, jak zapewniają mnie zarówno ze sfer nauczycielskich, uczniowskich i rodzicielskich. Otrzymałem w tej sprawie kilkanaście listów, konferowałem też z wielu osobami rozmaitej płci i wieku. Jedni zgadzają się ze mną, twierdząc, że mam racyę, inni są zdania wprost przeciwnego.

Przedewszystkiem wytłumaczył mi pewien bardzo poważny filolog klasyczny, że jest źle i źle być musi, gdyż obecnie lekceważy się gramatykę łacińską i grecką, które są początkiem wszelakiej mądrości.

— Główny nacisk — mówił, poprawiając okulary (filolog klasyczny powinien je nosić!) — powinno się położyć przedewszystkiem na gruntowne wyuczenie się gramatyki, reszta pójdzie już jak z płatka!... Jeśli chłopak w pierwszej i drugiej klasie przyswoi sobie należycie odmiany regularne i nieregularne łacińskie, w trzeciej zaś i czwartej greckie, a potem uzupełni swe wykształcenie zbadaniem dokładnem składni zgody i rządu, da sobie potem radę w życiu, na jakiemkolwiek znalazłby się stanowisku! A *consecutio temporum* czy to nie najwznioślejsza filozofia, kształcąca umysł, jak żadna inna dyscyplina? Powiem panu, panie kronikarzu, z własnego swego pedagogicznego doświadczenia, że nie pamiętam, by chłopak, który umiał dobrze deklinacye i konjugacye łacińskie i greckie, zeszedł później w życiu na złe drogi!..

Słowa czcigodnego pedagoga mile pogłaskały mą ambicyę, widziałem bowiem, że zapatrywania jego i moje częściowo bodaj się zgadzają. Być może, przecenił zbyt ważność i doniosłość początków gramatyki, w każdym przecież razie wielki nacisk położył na gruntowność, a o to i mnie głównie chodziło.

Innego nieco zdania był przyrodnik, który zasadę gruntowności uznawał, ale tylko w odniesieniu do różnych działów historyi naturalnej, jako nauki o tem, co nas otacza, o czem więc wiedzieć powinniśmy najlepiej.

— Drogi panie! — oto jego *ipsissima verba*. — Niech mi pan powie, czy dużo pamięta pan jeszcze z zakresu gramatyki łacińskiej i greckiej?

— Ze wstydem powiem — odparłem — iż prawie nic! Nawet alfabet grecki już mi się głowy nie trzyma...

— Otóż to właśnie!... A co pan wie o Homerze?

— Że wogóle nigdy nie istniał, urodził się równocześnie w siedmiu miastach i był od pierwszej młodości ślepy...

— Doskonale! A teraz niech pan rzeknie, ale tak pod słowem, czy nie większą korzyść przyniesie każdemu zapoznanie się ze światem, jaki nas otacza, z prawami, które nim rządzą, a którym wszyscy ulegać musimy, niż uczenie się o tem, czego nigdy nie było?...

— Najzupełniejsza racya!...

— Dlatego też ja utrzymuję, że naukę filologii klasycznej należy, jeśli nie znieść, to bodaj do *minimum* ograniczyć. Autorów klasycznych można czytać, na to się zgadzam, ale we wzorowych przekładach. Cóż panu to dziś przyniesie za korzyść, choćby pan wiedział, dlaczego w danym wypadku po *ut* położyć się ma *coniunctivus imperfecti*, a nie *plusquamperfecti?*

— Zgadzam się na to!

— A widzi pan! Niepotrzebnie nadziewa się biedną, rozwijającą się mózgownicę całą masą szczegółów, rzekomo bardzo ważnych, ale dla specyalisty, szkoła średnia ma zaś dać wychowanie tylko ogólne!

— Otóż sęk, a w tym sęku dziura! Otóż błąd, którym grzeszą wszyscy panowie profesorowie bez względu na to, czy są filologami, historykami, czy realistami, gdyż każdy chciałby wyspecyalizować uczniów w swym przedmiocie, choćby nawet ze szkodą innych. Sam pan profesor przed chwilą odezwał się w ten deseń!

— Tak, przyznaję! Ale również musi pan przyznać, że racya większa po mej stronie, nie zaś klasycznego filologa, który poza swoją łaciną i greką nic innego nie widzi! Poznaniem praw natury równie dobrze można wygimnastykować umysł, jak przyswojeniem sobie regularnych i nieregularnych form łacińskich i greckich... Może nawet i lepiej!

Przechodził właśnie historyk, chciałem go zapytać o zdanie, przeprosił mnie, iż spieszy na partyę szachów do kawiarni, a obawia się, by mu partner nie uciekł.

Wobec tego dałem za wygraną i zacząłem porównywać wywody klasycznego filologa i przyrodnika i doszedłem do przekonania, że nauka w szkołach średnich, aby rzeczywiście odpowiadała celowi, powinna być i gruntowną, ale też i praktyczną. to jest program gimnazyalny powinien główny nacisk kłaść na to, co uczniowi kiedyś może przynieść prawdziwy pożytek, a nie obarczać jego mózgu niepotrzebnym balastem. Pchano mi w głowę swojego czasu łacinę i grekę w sporych dawkach i gruntownie, ale, przyznam się szczerze, praktycznego z tego pożytku mam mało. Gdybym przynajmniej był księdzem, mógłbym bodaj śpiewać po łacinie, na razie żadnej mi ona korzyści nie przynosi, a bez greki potrafiłbym się obejść zupełnie dobrze. Przyznaję też, że nauki, dla ucznia najważniejsze, traktowane są prawdziwie po macoszemu. Na języki nowożytne, geografię, historyę, nauki przyrodnicze i t. d. przeznaczono śmiesznie mało czasu, a materyał, który należałoby przerobić (o opanowaniu go nawet mowy niema!...) jest ogromny. W gimnazyach panuje jeszcze duch średniowiecza, łacina i greka spycha wciąż inne gałęzie wiedzy na drugi plan.

Nowy program studyów gimnazyalnych powinien więc uwzględnić także i tą bolączkę, a jestem pewny, poziom ogólnego wykształcenia uczniów podniesie się ogromnie.

Co za tem idzie i podręczniki, używane w szkołach średnich, musiałyby uledz zmianie, ale to chyba nie przedstawia żadnych trudności, gdyż i dzisiaj pojawiają się ciągle coraz to nowsze i ani rusz doprowadzić do tego, by młodszy syn mógł korzystać z pozostawionych mu przez starszego brata. Na tem najgorzej wychodzi kieszeń ojcowska, profesorowie wymagają bowiem najnowszego wydania, choć ono prawie niczem nie różni się od dawniejszego. Powiadają, że w ten sposób przyzwyczaja się ucznia do porządku i stosowania się do przepisów szkolnych.

Na to nie bardzo się zgadzam, ale trudno, głową muru nie przebije.

Wszystkie, dotychczas przezemnie w obydwu kronikach poruszone momenty odnoszą się do systemu, mającego w szkołach średnich prawo obywatelstwa. Gdybym na tem chciał skończyć, byłbym zbyt jednostronnym. Prócz wadliwego systemu jest jeszcze coś, co utrudnia normalny tok nauki i paraliżuje największe nieraz wysiłki nauczycieli, a tem jest nieodpowiedni materyał uczniowski, jaki się gwałtownie pcha do gimnazyów. Szczytem ambicyi każdego ojca jest bez względu na to, czy syn nadaje się do wyższych studyów, czy nie, za każdą możliwą cenę zrobić zeń urzędnika. Szkoła więc ludowa i wychowanie domowe widocznie szwankują, skoro taki wysoki procent nieprzygotowanych należycie do studyów gimnazyalnych chce czerpać z krynicy klasycznej wiedzy. Rodzice i opiekunowie nie zastanawiają się nad tem, że nieraz, zmuszając swego pupila do uczenia się łaciny i greki, wyrządzają mu największą krzywdę. Przepcha się go może przez gimnazyum, przelezie i przez uniwersytet, choć tyle tylko tam zaglądał, o ile trzeba się starać o *nomina* i *testy*, osiągnie nawet upragnione stanowisko w hierarchii urzędniczej, ale teraz dopiero, widząc, jaki on mały i mizerny, czuje się nieszczęśliwym i zazdrości tym rówieśnikom, którzy poświęcili się praktycznemu zawodowi i doszli do dostatku, gdy on tymczasem biedę klepie. Gdyby można było dokładnie przesiać to ziarno, to jest nie dopuścić absolutnie do studyów gimnazyalnych tych, którzy się zupełnie do nich nie nadają, a potem, dajmy na to po klasie czwartej, innych, o których się wie, iż w wyższem gimnazyum rady sobie nie dadzą, skierować na praktyczne tory, nie byłoby tyle narzekania. Przemysł, handel i rękodzieło, dlatego u nas stoją tak nisko, iż niejeden ojciec uważałby dla swej rodziny za ujmę i wieczną plamę na honorze, gdyby jego syn, choć ostatni nieuk, miał się poświęcić zawodowi praktycznemu, a nie wzdychać do czapki z urzędowym bączkiem i nie dążyć do niej, choćby nawet po cierniach... W innych społeczeństwach nie brak przemysłowców, kupców i rzemieślników o wyższem, nawet uniwersyteckiem wykształceniu, inaczej też tam są szanowane te zawody. U nas dotąd panuje przesąd gorzej nawet niż średniowieczny, iż syn urzędnika, musi sam być urzędnikiem, chyba, że zeń już taki osioł zdeklarowany, iż nikt mu nie poradzi. Wówczas dopiero szuka się dlań praktycznego zawodu!... A i z takich są potem często ludzie i nieraz mają się oni materyalnie lepiej, niż ich koledzy, którzy po długich a dolegliwych cierpieniach zdali wreszcie maturę i skończyli studya uniwersyteckie. A każdy przecież dąży tylko do tego, by sobie byt materyalny zapewnić.

Jakże inaczej wyglądałyby szkoły średnie, jakże lepszymi byłyby wyniki, gdyby w nich nie było tego przepełnienia i do tego nieodpowiednim materyałem. Powiada Pismo święte: „Wielu było wezwanych, ale mało wybranych“... Tutaj napchało się ich tyle, choć ich nikt nie wzywał, tylko pchała ich fałszywa ambicya. Więc musi się i powinno wybierać, by kąkol oddzielić od zdrowego ziarna.

Na zakończenie więc mych wywodów o „Skutecznym rad sposobie na niedomagania w szkołach średnich“ powtórzę jeszcze raz, że nauka w gimnazyach, aby miała odpowiedni skutek i przygotowywała młodzież naprawdę do przyszłego zawodu, powinna być gruntowną i praktyczną, ale też garnąć nie powinni się do niej niepowołani. Jeśli uwzględni się te trzy czynniki, nie będzie powodu do narzekań i okażą się zbytecznymi wszelakie „rad sposoby“.

Właśnie ukończono pierwsze półrocze i, o ile wiem, wynik klasyfikacyi był bardzo ujemny. Dwójek i trójek we wszystkich krakowskich zakładach więcej, niż gwiazd na pogodnem niebie, *ergo* trzeba poważnie nad tem się zastanowić, jak złemu zaradzić. Kronikarzowi sprawa ta leży też na sercu, wobec czego zabrał w niej głos i to aż dwa razy, zastrzegając sobie, że jeszcze kiedyś, przy sposobności, do niej powróci. Brak czasu i miejsca nie pozwolił na poruszenie wszystkiego.

Ale teraz wojna, te reformy pozostawić sobie należy na czasy powojenne. Z natury rzeczy i nauka nie idzie tym torem, jakim powinna iść w pokojowym czasie, a każdy uczeń więcej się zajmuje na przykład notą Wilsona, niż zdaniami warunkowemi lub czemś podobnem. Młodzież idzie obecnie za duchem czasu, żyje więcej nerwami, niż dawniej, bierze też, od chwili dojścia do jakiej takiej świadomości, udział w życiu społecznem i rada jest, jeśli tu i ówdzie może wtrącić swe trzy grosze. Onegdaj rozmawiałem w kwestyi wojny i pokoju z pewnym drugoklasistą. Chłopak zaimponował mi wprost swą znajomością sytuacyi politycznej i platformą, z jakiej się na nią zapatruje. Jestem pewny, że, jeśli kiedyś skończy studya, poświęci się potem pisaniu artykułów wstępnych w pismach politycznych.

— Panicz łaskawy — zapytałem — do którego stronnictwa się zalicza?

— Tego właściwie sam nie wiem — odparł po namyśle. — Ja jestem właściwie bezpartyjny.

— A który program polityczny najbardziej przypada mu do serca?

— I z tego jeszcze nie zdaję sobie sprawy, choć już nieraz nad tem się zastanawiałem!

— W takim razie proszę mi powiedzieć, czy pan jest za wojną, czy przeciw niej?

— I na to nie mogę dać stanowczej odpowiedzi. Odpowiedziałbym: tak i nie!

— Tego nie rozumiem. Może zechce mi pan wytłumaczyć?

— I owszem! Mam jeszcze kilka minut czasu, mogę je panu poświęcić, bo mi się pan podoba. Otóż to jest tak!.. Ze względu na szkołę, choć jestem zdeklarowanym pacyfistą, byłbym zdania, by wojna trwała aż do chwili, dopóki studyów, przynajmniej gimnazyalnych, nie skończę... Bo to, uważa pan, belfrzy w czasie wojny inaczej klasyfikują, wymagania ich nie są zbyt wygórowane, każdy to uwzględnia, że się ma teraz wojnę na głowie... Ze względu natomiast na moje życie prywatne byłbym za natychmiastowem ukończeniem wojny i sam dołożyłbym wszelkich starań, aby powróciły normalne stosunki. Tato mi nie chce kupić nowych trzewików, bo powiada, że nie może wydać ośmdziesięciu koron bez uszczerbku dla budżetu domowego, mając nas kilkoro w domu!

Rozumiem pana i współczuję z panem... I ja musiałem się wyrzec wielu dawnych nawyknień.. Trudno jednak wymagać, by jednym dobrze się działo, gdy drudzy muszą cierpieć!

— I ja sobie tak to tłumaczę...

Na tem skończyliśmy rozmowę i rozeszliśmy się w różne strony, ja do domu, mój interlokutor zaś na koleżeńskie zebranie, na którem miano ostatecznie ustalić treść odpowiedzi drugoklasistów na orędzie Wilsona.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył E. Stankowski, Grajewo.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko bardzo obecnie popularnej w Polsce osobistości.

ol
wa
uk
ól
— le
— ar
er
- oń
- wo.

Grzebieniówka.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko sławionego polskiego poety i mowcy z czasów Księstwa Warszawskiego.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Znany krzew. 2. Wojna obronna. 3. Dziewica, znana z mitologii greckiej. 4. Miejscowość w Rólestwie Polskiem. 5. Władca rzymski. 6. Tytuł wojskowy turecki. 7. Inaczej przesłuchiwanie lub badanie.

Równanie.
Ułożył Iii Ey., Kraków.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć po tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną sylabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{3}+\frac{c}{3}=x.$$

$$\frac{m}{3}+\frac{n}{3}+\frac{o}{4}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Postać z „Trylogii" Sienkiewicza. b) Imię męskie. c) Dramaturg polski. m) Jarzyna. n) Broń palna. o) Imię męskie.

Okienko.
Ułożył A. J. „Tolek", Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a a a
c g g g g
k k t
t w w y y

Znaczenie wyrazów: 1. Roślina podzwrotnikowa. 2. Papier wartościowy. 3. Imię żeńskie.

Trójkąt magiczny.
Ułożył B. Gurmasek, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę miasta niemieckiego.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Imię żeńskie. 3. Prowincya austryacka. 4. Złoduch. 5. Zasłona. 6. Wychowawczyni. 7. Miasto w Rosyi. 8. Litera grecka. 9. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Złe i mdłe zręby wpierw utyły.

Okienko.
Ułożył Iii Ey, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a b e e e
e e e
i i i
i n n
n n p p r r r r s
s s s
t t t
t t u
u u u w w z z z z

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Belgii. 2. Imię męskie. 3. Inaczej więzień.

Bilety wizytowe.
Ułożył Iii Ey., Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

Z. NINAREDZKI.

JERZY WOSK.
KOWAL.

ARTUR ERYK TEDOT.

ROMAN OST.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Księgę pamiątkową wielkiej wojny,** wydaną staraniem Redakcyi *Nowości Illustrow.*

Rozwiązanie zagadek z Nr. 3.

Łamigłówka rachunkowa:

4	3	8
9	5	1
2	7	6

Szarada: Konstantynopol.

Łamigłówka literacka:
Kobiet bez skazy.
Anioły pacząt.
Zwyczęzca.
Idylle wojenne.
Małżeństwo i a pról ę.
I pieśń niech zapłacze.
Epigoni.
Ragi örck.
Zmierzch.
Partya
Rok 1794.
Zakryte karty.
Erotyki.
Racławice.
Wierna rzeka.
A i ł śmierci.
Ta trzecia.
E nan ypantki.
Trzy pokolenia.
Maciej M zur.
Awan ury arabskie.
J tro.
Er tyki.
Rok klęski.

Zadanie do przestawienia: Klin klinem wybija.

Okienko:

B	a	b	a	d	a	g
a		a				a
b		r				r
a	a	r	b	u	r	g
d		u				a
a		r				n
g	a	r	g	a	n	o

Rozsypane litery: Podobny, jak pięść do nosa.

Zadanie na rozsypane litery: Nie wart nawet szeląga

Trójkąt magiczny: Chodacka Marja.

Bilety wizytowe: Romansopisarz. Satyryk. Listonosz. Szofer. Historyk.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane. M. Wyka Kraków. D. Ligęza Kraków, D. Sedynska Krakow. J Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F Gebhardt Kraków. J. Sadowski Kraków. H. Trojacki Wiedeń. C. Wang Wadowice. K. Sawliński Jasło. I. Brzostowski Krosno. S. Karwowski Berlin. D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków. D. Engelberg Wiedeń. J. Lisowski Oświęcim. S. Osadowska Rzeczyca. . Radoszewski Sucha. S. Krzyżanowski Kraków. J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice. W. Potocka Kraków. D. Karczmarski Poddębie. J. Zachara Biała. J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków. S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń. K. Karpowicz Wiedeń. J. Sperling Wiedeń. S. Cegielski Poznań. F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała. S. Bernatowicz Zakopane, M. limek Cieszyn. S. Lipski Wiedeń. S. Sł wions i W d ń. J. Jahoda Cieszyn. T. Biliński Oświęcim. A. Dużak Kraków. S. Jasinski, Budapeszt. J. Broda Mor. Ostrawa. S. Grodzicki Praga. S. Kamo ki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów. S. B d arski Przemyśl. S. Jaśkiewicz Wiedeń. L. Kozubski Wiedeń. M. Wisłocka Tarnów. L. Serkowski Rzeszów. K. Doi ń ki Kraków. E. Winter Tarnów. J. Sosenko poczta pol. 286. M. Ch in Drohobycz. B. s ą k Miejsce łast we. J. Borgmann Jarosław, E. B dała. K opuż Tow Kasyn we Strzsza. A. Kohnen poczta polowa 117. W osen o Podgórze

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Jasiński, Budapeszt.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Kazimierz Bartoszewicz **Utworzenie Królestwa Kongresowego.** Kraków 1916 Nakładem Biura wydawnictw N. K. N. Str. 3 2. Cena 6 koron.

Dzieło to wyszło w samą porę, bo opowiada nam dzieje sprawy polskiej przed stu laty, a więc to jej załatwienie, którego skutki do dziś dnia ciężko odczuwamy. Położenie nasze w r. 1813—1815 było prawie zupełnie takie samo jak dzisiejsze. Królestwo Polskie, okupowane obecnie przez państwa centralne, znajdowało się wowczas, jako Księstwo Warszawskie, pod okupacyą rosyjską. Radzono na kongresie wiedeńskim, co z niem zrobić i rozstrzygnięto rzecz najfatalniej na wiek cały. W walce dyplomatów występowały te same argumenty, jakie dziś spotykamy przy omawianiu sprawy polskiej. Perfidya Anglii i Francyi objawiała się prawie w tych samych słowach, co dzisiaj. Rosya, podobnie jak dziś, dążyła do tego, aby sprawie polskiej odjąć cechę międzynarodową i zepchnąć ją na stanowisko sprawy wewnętrznej caratu. Stąd analogie na każdym kroku, bo nigdy w dziejach naszych nie było chwili tak **zbliżonej do tych, jakie dziś przeżywamy — stąd wreszcie** nacisk historyi nigdy do nas wyraźniej nie przemawiała, jak z tej epoki, którą obejmuje praca Bartoszewicza

Autor poprzedza swe opowiadanie rzutem oka na dzieje lat 1807—1812, aby przedstawić obłudne postępowanie Aleksandra I w sprawie polskiej. Kokietując z jednej strony Polaków, dokładał jednocześnie wszystkich usiłowań, aby imię Polski wymazać raz na zawsze z karty Europy. Dzieje tego oszustwa to prawdziwe memento dla dzisiejszego pokolenia.

Następnie autor, opierając się na nieznanych materyałach, opowiada dzieje okupacyi rosyjskiej w Księstwie Warszawskiem, poczem przechodzi do kongresu wiedeńskiego. Charakteryzuje jego przebieg, podaje sylwety głównych działaczy. Osobny rozdział poświęcony jest barwnej charakterystyce dyplomatów rosyjskich, oraz memoryałom w sprawie polskiej Pozza di Borgo i sławnego Steina, największego pruskiego męża stanu przed Bismarkiem.

Dalej idą rokowania Aleksandra w sprawie polskiej z Talleyrandem, Castlereaghem (przedstawicielem Anglii) i z Metternichem. Odbywa się walka na memoryały. Pojawia się propozycya utworzenia naraz aż... trzech królestw Polskich. Sprawa saska grozi zerwaniem kongresu. Wisi w powietrzu nowa wojna o Polskę i Saksonię. Powstaje małe, wątłe, skazane z góry na śmierć Królestwo Kongresowe.

Do nadzwyczaj interesujących należy rozdział o nastrojach, panujących w kraju. Autor przeważnie na podstawie źródeł archiwalnych, przedstawia rozczarowanie społeczeństwa „oryentacyę" napoleońską, agitacyę zwolenników koncepcyi Aleksandra przeciw napoleonistom i t. d.

Następne rozdziały omawiają zasady konstytucyi, uroczystość ogłoszenia Królestwa, działalność rządu tymczasowego, wzbudzające trwogę postępowanie w. ks. Konstantego, zawarcie Świętego Przymierza", pobyt Aleksandra w Warszawie, nadzieje i rozczarowanie Litwy, ogłoszenie konstytucyi, utworzenie rządu z namiestnikiem Zajączkiem na czele, pierwsze występy Nowosilcowa... Są to wszystko rzeczy pierwszy raz w całość zebrane, a pełne całkiem nowych szczegółów. Nowością również jest cały szereg „dodatków" z archiwum wyjętych.

Monografia Bartoszewicza jest pierwszem ujęciem w całość tego okresu, który nazwał Askenazy najmniej znanym, albo raczej całkiem nieznanym, a który, mimo, że w nim się dokonał przewrot niesłychanej doniosłości, był dotychczas pomijany przez naukę historyczną wogóle, a polską w szczególności.

Ogromnemi zaletami dzieła Bartoszewicza są jasność i przejrzystość układu i wykładu oraz wyborna charakterystyka czasów i działaczy, co wobec wszechstronnego wyzyskania opracowań i źródeł, oraz obfitego nowego materyału archiwalnego, stawia tę monografię w szeregu najlepszych prac historycznych, jakie się w ostatnich czasach ukazały.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego, Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeuskiego